

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



3

(63) 2010

Ks. Józef Pyrek: Przemyslenia ♦ Pamiętamy o Katyniu
♦ Wspomnienia o ludziach, wydarzeniach, miejscach
i czasach ♦ O tamtym Lwowie ♦ Rozmowa z Barbarą Wa-
chowicz ♦ Słownik geograficzno-historyczny ♦ O książ-
kach, czasopismach ♦ Podziękowanie Ofiarodawcom

KILKA SPRAW WAŻNYCH

Mamy już pierwsze (wspaniałe!) odzewy na nasz Apel, zamieszczony w CL 2/10. Napłynęły kwoty większe i mniejsze – Ofiarodawców wymieniamy na końcu tego zeszytu – i dzięki temu niniejszy numer może być obszerniejszy. Nie taki, jak dawniej – 80-stronicowy – ale jednak, a powód jest oczywisty.

Nasuwa się jednak refleksja, że trzeba myśleć o przyszłości, wszak Czytelnicy nie mogą nas wspomagać permanentnie. Przed sobą mamy w bieżącym roku jeszcze jeden numer, a potem będzie rok następny. Czy mamy szansę znaleźć się w 2011 roku wśród dotowanych szczęśliwców? Bozia raczy wiedzieć, niemniej warto być przygotowanym, bo kryzys trwa (i pewnie potrwa).

Na razie serdecznie wszystkim Ofiarodawcom dziękujemy, i to nie tylko w imieniu naszej redakcji, ale ogółu Czytelników i Autorów, którzy razem stworzyli – jeśli to nie za brzmii pretensjonalnie – wschodniomałopolską rodzinę. Świadczą też o tym liczne listy (z których część publikujemy), nadchodzące z całego kraju i zza jałtańskiego kordonu.

Wracając do rzeczy: numer 2/10 miał 48 stron i na tyle samo liczyliśmy dotąd (z konieczności) co do dwóch następnych w tym roku. Teraz jednak – dzięki hojności Czytelników – decydujemy się na 64 strony (tak jak miał nr 1/10, bo zachowaliśmy niewielką rezerwę z poprzedniego roku). To będzie pojemność rozsądna, po środku. Może uda się czasem podwyższyć do 72 stron¹?

Skoro nawiązaliśmy dziś tę familijną, szczerą rozmowę, pozwalamy sobie poruszyć jeszcze dwa tematy, które żywo nas obchodzą. Zresztą oba wiążą się ze sobą ściśle, a nie dotyczą problemów kwartalnika. To tematy raczej – wyrażając się górnolotnie – obywatelskie.

Pierwszy temat to Instytut², o który zabiegamy, jak wiadomo, od kilku lat. Czytelnikom należą się wyjaśnienia, bo zapewne dowiedzieli się z mediów, że powstało już kilkanaście podobnych inicjatyw; ostatnio pisaliśmy o tym w CL 1/10 w *Słowie od Redakcji*. Omawiany tam niedawny projekt „Wspólnoty Polskiej” – uważany przez niektórych za nowość – zakończył się gwałtownie tragiczną śmiercią prezesa M. Płażyńskiego pod Smoleńskiem. Jednak niektórzy obserwatorzy zapomnieli (albo w ogóle nie wiedzieli), że inicjatywa Instytutu wyszła od nas. To co powstało – padło, uznano więc, że i nasze wysiłki spełzły na niczym.

Tymczasem my, niemal od samego początku, stawialiśmy na warszawskie Muzeum Niepodległości, w którym w 1992 r. powołano Kolekcję „Leopolis”³. I ta właśnie – po paru latach – staje się zaczynem szerszej formy, która obecnie ma szansę rozwijać się pomyślnie. Nowy dyrektor, dr Tadeusz Skoczek, powołał już grono historyków, którzy obecnie zapoznają się z dotychczasowymi osiągnięciami i materiałami. Krokiem naprzód będą w 2011 r. II Muzealne Spotkania z Kresami, do których swój twórczy udział zgłosiło już kilkadziesiąt placówek historycznych z całego kraju. Cierpliwość więc popłaca.

I drugi temat, łączący się ściśle z Instytutem: prowadzone na razie przy naszej redakcji Archiwum Wschodnich Małopolan (a w przyszłości na pewno szerzej: Archiwum Kresowian – z wszystkich utraconych Ziemi Wschodnich). Apelujemy co jakiś czas do Czytelników, a ostatnio wymieniliśmy ten temat w liście *Przykładowych tematów kresowych* w CL 1/10 (str. 63).

Celem nadrzędnym jest utrwalenie wielowiekowej obecności na tych ziemiach Polaków i polskości, naszej kultury i cywilizacji – głównie na tych bliższych ziemiach, które dotrwały do II wojny światowej. Dziś spotykamy się bowiem z negowaniem tam naszej obecności, a to, co wartościowe, przypisuje się innym⁴ (czasem aż do śmieszności).

My więc chcemy przyczynić się do ratowania pamięci o Polakach, o polskiej ludności na Ziemiach Wschodnich – na ile się da. Wiadomo wszak wiele o górnej części naro-

I

Czas międzywojnia
był dla Polaków
czasem szczególnym:
po latach długiej niewoli
zaistniała druga Rzeczpospolita,
zaistniała Polska
wolna i niepodległa.

Ten czas był
także dla mnie
czasem szczególnym:
czasem moich narodzin
i czasem mojego dzieciństwa.

W tym czasie
zaczęłam dostrzegać
i odczuwać,
czym jest Ojczyzna
i dlaczego
należy ją kochać.

Dla moich bliskich
i dla moich znajomych,
ten sam czas
był czasem zwykłym.
Nikt z nich
nie miał zapewne
żadnych wątpliwości
co do swego obywatelstwa
i do kogo należy Lwów.

II

Nie tylko dla tych,
którzy w nim mieszkali,
ale też dla tych,
którzy go poznali zwiedzając,
był Lwów jednym
z najpiękniejszych miast
nie tylko Europy,
ale i świata.

Polacy dobrze pamiętali
o jego wierności Polsce:
nie tak dawno
krwią swoich córek i synów
Lwów zaświadczył o tym,
do kogo chce należeć.

Lwowianie czynili to również
na wiele innych sposobów,
ale świadectwo krwi
jest świadectwem
o szczególnej mocy.

Przez swą prawdziwie
heroiczną wierność Polsce,
Lwów wpisał się w dzieje
miast bohaterów
naszej Ojczyzny.

Chociaż był miastem polskim
i miastem polskim chciał pozostać,
był równocześnie przyjazny
wobec innych narodów.
Szanował cudzoziemców,
którzy w nim zamieszkali:
mogli w nim żyć swobodnie,
pracować, odczuwać
i przeżywać na co dzień,
że są u siebie.

Pośród wielu innych
pięknych miast
był wspaniałym klejnotem:
olśniewał pięknem
licznych dzieł architektury
i pięknem wielu innych
dzieł sztuki.
Równocześnie był miastem
wielu uczonych i artystów,
miastem wspaniałych
dzieł kultury.

III

Lwów umiał
radować się
swą wolnością
i niepodległością
w tym czasie,
kiedy Polska była
prawdziwie wolna
i niepodległa.

Niestety, nadszedł
rok 1939
i lata następne,
czas bezprawia
i zniewolenia.

Oczekiwany koniec wojny
nie był dla Lwowa
końcem radosnym:
Lwów oderwano od Macierzy
i pozbawiono
nadziei powrotu.

O losie Polski
i o losie innych narodów
rozstrzygali ludzie
nieliczący się
z sumieniem
i uczciwością,
ludzie mający za nic
rzeczywiste dobro tych narodów.

To oni podjęli decyzję
co do losów Lwowa,
Kresów i innych
Ziem Rzeczypospolitej.

- ▶ Rozstrzygnięcia narzucał jeden z największych zbrodniarzy świata. Zarazem jeden z największych wrogów Polski i wielu innych narodów, zbrodniczy Stalin. Razem z nim rozstrzygali o nas ludzie, których wielu Polaków chciało mieć i uznawało za przyjaciół Polski.

IV

Ponownie w naszych dziejach stanął wówczas przed nami problem ogromny.

Także dziś jest to problem wielki i trudny: Jak rozpoznawać i odróżniać przyjaciół od wrogów? Jak rozpoznawać i odróżniać przyjaciół od tych, którzy przyjaciół udają?
Pozdrawiam Lwów.
Czynię to, odwiedzając go, ale też z daleka. Obyś był i pozostał zawsze miastem, którego życie owocuje prawdziwym dobrem.
Bądź takim dziś, bądź także w przyszłości.

9 IX 2009

Zgodnie z prośbą Księdza Proboszcza Parafii św. Marii Magdaleny we Lwowie, Zarząd Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich zwrócił się do swoich członków z prośbą o poparcie starań Parafian u władz administracyjnych Lwowa o zwrot świątyni Wiernym rzymskokatolickim, do których należy ona z prawa i trady-

cji od chwili powstania, tzn. od XVII wieku. Apel Ks. Proboszcza i historię kościoła przedrukowaliśmy w numerze 1/2010 naszego kwartalnika, obecnie przedstawiamy treść pisma, pod którym znalazło się 91 podpisów.

Jego oryginał został przesłany Proboszczowi ks. Włodzimierzowi Kuśnierzowi do Lwowa.

KOŚCIÓŁ ŚW. MARII MAGDALENY WE LWOWIE NALEŻY DO WIERNYCH RZYMSKICH KATOLIKÓW

Wspólnota Ekspatriantów ze Lwowa i całej Archidiecezji Lwowskiej obrządku rzymskokatolickiego, zamieszkałych dziś w Krakowie, solidaryzuje się z Parafianami kościoła św. Marii Magdaleny oraz jego Proboszczem w sprawie domagania się zwrotu tej świątyni rzymskim katolikom we Lwowie, do których kościół ten z mocy prawa i tradycji należy od czterech wieków, tj. od chwili powstania.

Władze miejskie Lwowa dokonują różnych mało zrozumiałych pociągnięć administracyjnych, które mają utrudnić i oddalić zwrot kościoła oraz jego pełne użytkowanie przez wspólnotę wiernych katolików obrządku rzymskiego. W tej kwestii administracja Lwowa pozostaje w rażącej sprzeczności z zasadami, jakie są stosowane w cywilizowanych krajach Europy, gdzie – podobnie jak w Polsce – świątynie zacho-

wują swój status i funkcję religijną, a zarazem mogą być wynajmowane na imprezy artystyczne, będące w zgodzie z szeroko rozumianą kulturą. Przykładem wspaniałe kościoły krakowskie, gdzie odbywają się liczne koncerty organowe i orkiestralne, przy zachowaniu godności świątyni.

Analogicznego postępowania muszą się domagać wierni rzymskokatolicy, ale powinny ich popierać również sfery kulturalne i osoby innych obrządków chrześcijańskich, którym zasady europejskie nie mogą być obce.

Zwracamy się przeto z apelem i prośbą do Władz Lwowa o uregulowanie sprawy kościoła św. Marii Magdaleny z korzyścią dla parafian obrządku rzymskokatolickiego – obywateli Lwowa. Z góry za to dziękujemy.

Kraków, Wielkanoc 2010

Por.
Leopold Tomasz
ZWODZIŃSKI
ur. 7 XI 1899 Lwów
urzędnik, 2 pał
1940

Pik
Kazimierz
ZELISŁAWSKI
ur. 15 III 1893 Adamów
pow. kaliski zea dcy
Nowogródzkiej 9K
1940

Por.
Adam Bronisław
ZYSKO
ur. 26 XII 1904 Lwów
geograf, 3 ur. kag.
1940

Por.
Jan Rudolf
ZWINGLAK
ur. 1 IV 1901 Kraków
nauczyciel, 60 pp
1940

Ppor.
Ignacy Jan
ZIEMIANSKI
ur. 7 II 1910 Kalamyja
urzędnik, 49 pp
1940

Kpt.
Antoni
WROBLEWSKI
ur. 16 I 1891 Lwów
Szkoła Uzbr.
1940

Kpt.
Mieczysław Marian
WRONKA
ur. 26 X 1906 Lwów
SPRAC-
1940

Ppor.
Mieczysław
WOZNIAKIEWICZ
ur. 26 VII 1910 Lwów
prawnik, 43 pp
1940

Ppor.
Jan
WORONOWSKI
ur. 15 X 1909 Wilno
żołnik, MSWojsk.
1940

Kpt.
Karol
WOLKENBERG
ur. 15 VII 1895 Lwów
Wojsk. Sad Rejonowy
1940

Kpt.
Ignacy Jan
ZACHARIASIEWICZ
ur. 16 V 1889 Lwów
urzędnik, OK V
1940

Ppor.
Edmund
WOZNIAK
ur. 16 XI 1911 Poznań
technik, 7 oddz. st. uzor
1940

Por.
Jerzy Andrzej
WODZIŃSKI
ur. 1 III 1892 Lublin
płatnik 28 pp
1940

Kpt.
Mikołaj
SZYDŁOWSKI
ur. 2 IX 1896 Lwów
Kwatera Główna ND WF
1940

Por.
Stanisław
WODZIANICKI
ur. 25 X 1899 Petersburg
artysta malarz, OW Grodno
1940

Ppor.
Ignacy Jan
ZIEMIANSKI
ur. 7 II 1910 Kalamyja
urzędnik, 49 pp
1940

Ppor.
Wacław Marian
WIŚNIEWSKI
ur. 15 I 1912 Warszawa
nauczyciel, 23 pp
1940

Ppor.
Zdzisław
WIŚNIEWSKI
ur. 14 II 1908 Brześć
nauczyciel
Anglam, technik, 9 pac
1940

Ppor.
Jan Stefan
WIŚŁOCKI
ur. 20 VII 1912 Lwów
mgr filologii klasycznej,
163 pp
1940

Ppor.
Artur Szymon
WIŚNIEWSKI
ur. 18 XII 1899 Lwów
di. praw., MSWojsk.
1940

Por.
Stanisław Adam
WIERZEJSKI
ur. 8 V 1905 Kraków
urzędnik, 5 par
1940

Por.
Jerzy
WIELICZKO
ur. 4 XII 1896 Łódź
urzędnik, OK B
1940

Por.
Aleksandra
WIECZOREK
ur. 9 V 1908 Głajystok
inżynier, 42 pp
1940

Ppor.
Leopold
WASILEWSKI
ur. 15 I 1901 Moskwa
urzędnik, 32 pp
1940

Młk
Władysław
WALECKI
ur. 20 V 1895 Kamieniec
Podolski
szef, OK K J
1940

Kpt.
Karol Marian
WELCZE
ur. 26 IX 1892 Lwów
instr. techn. 120k.
1940

Ppor.
Władysław
UREKOWICZ
ur. 20 I 1898 Łódź
urzędnik, 5 pp. 24.
1940

Kpt.
Stanisław
JUSTANOWSKI
ur. 15 VI 1892 Lwów
advokat, MSWojsk.
1940

Ppor.
Wincenty
TRACZEWSKI
ur. 14 XII 1910 Radom
technik, Jan. KOP "Sarmy"
1940

Kpt.
Tadeusz
TOCZYŃSKI
29 IX 1884 Podwojeczyska
buchalter, OK VII
1940

Ppor.
Zygmunt
SZYMAŃSKI
ur. 19 I 1906 Szwajcya
na Włocławku
inżynier, 1 radnik
1940

Kpt.
Jerzy
SZYDŁOWSKI
ur. 25 X 1891 Łódź
bez. zaopieczona, Broń. Jan. K.
1940

Młk
Mikołaj
SZYDŁOWSKI
ur. 2 IX 1896 Lwów
Kwatera Główna ND WF
1940

Ppor.
Józef
SZULKOWSKI
ur. 13 XI 1904 Suwałki
nauczyciel, Jan. KOP
"Białystok"
1940

Ppor.
Józef
SZUKOWSKI
ur. 2 II 1892
Szkoła Wileńska, SK
1940

Ppor.
Stanisław
SZOSTAK
ur. 2 III 1906 Głiv
nauczyciel, Jan. KOP "Sarmy"
1940

KATYŃ 1940-2010 PAMIĘCI OFIAR ZBRODNI

Wiesław Opalek

SPOTKANIE OLIMPIJSKICH CIENI

Miał się odbyć ponowny apel Ich cieni. Przywołanie, by nie umarli nigdy w naszej pamięci. Zamiast – jest morze łez. Jest ocean narodowej tragedii, smutku i żalu.

Tysiące zamordowanych polskich żołnierzy, policjantów i cywilów w Katyniu, Charkowie i Miednoje dokładnie siedemdziesiąt lat temu – w kwietniu 1940 roku – spoczęły w leśnych mogiłach. Zginęli, a po nich w następnej kolejności miała zginąć Polska...

W sobotę 10 kwietnia do list katyńskich okrutny los dopisał kolejne nazwiska. Tych, którzy pod katyńskim krzyżem swoją obecnością mieli zaświadczyć, że śmierć sprzed siedemdziesięciu lat nie była daremna. Że nie zginęła – póki my żyjemy...

Wśród 96 ofiar katastrofy na smoleńskim lotnisku był przewodniczący Polskiego Komitetu Olimpijskiego Piotr Nuruwski.

Zamierzał złożyć hołd zamordowanym olimpijczykom, sportowcom najwyższej klasy, których pojawienie się na olimpijskich stadionach niegdyś zwiastowało czas ekecheirii – pokoju bożego. Lecz las pod Smoleńskiem ponownie udowodnił, że za nic ma dziedzictwo starożytnej Elidy.

Listy nazwisk z katyńskiej nekropolii wydają się nie mieć końca. Olimpijskie cienie jawią się wśród nich lśnić diamentowym blaskiem. Czy stając do swej ostatniej walki zdawali sobie sprawę, że tym razem to pojedynki bez zasad i sędziów, a jego metą jest tylko śmierć? Historie Ich życia świadczą, że wiedzieli dokładnie. A jednak poszli...

→ Major **Józef Baran-Bilewski** – w podreższowskiej Raclawówce rozpoczynał sportową rywalizację wraz z szóstką rodzeństwa. Jako zawodnik Resovii, lwowskiej Pogoni i poznańskiego AZS-u swoją karierę zwińczył zdobyciem pięciokrotnie tytułu mistrza Polski (w pchnięciu kulą – 1922 i 1926 oraz w rzucie dyskiem – 1926, 1927 i 1929). Na Igrzyskach Olimpijskich w Amsterdamie (1928) w rzucie dyskiem uzyskał wynik 41,77 m dający mu 18 miejsce. Artylerzy-

sta z przydziałem do Centralnej Wojskowej Szkoły Gimnastyki i Sportów w Poznaniu, w 1929 roku został przeniesiony do Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego w Warszawie, gdzie pełnił służbę aż do wybuchu wojny. Na igrzyska do Los Angeles pojechał jako kierownik grupy lekkoatletycznej. Był działaczem PZLA i PKOl, trenerem i sędzią. Karierę wojskową rozpoczął w wieku 18 lat w 17 Pułku Piechoty, a później w 56 Pułku Artylerii Ciężkiej. Brał udział w obronie Lwowa. Awanse oficerskie przeplatały się z sukcesami sportowymi – był szesnastokrotnym rekordzistą Polski w kuli i dysku. 20 września dostał się do sowieckiej niewoli, a po obozach w Szepietówce i Kozielsku w ostatnią swoją drogę ruszył 1 kwietnia 1940 roku – do Katynia. Zidentyfikowany pod numerem 1856.

Marian Spoida – piłkarz, olimpijczyk z Paryża (1924). Grał w Warcie Poznań (mistrz Polski w 1929 r.) i reprezentacji Polski (rozegrał 14 spotkań). Po zakończeniu kariery zawodniczej został trenerem – od 1931 roku był asystentem selekcjonera Józefa Kałuży. Uczestniczył w powstaniu wielkopolskim i wojnie polsko-bolszewickiej. Pracował jako urzędnik bankowy. Po kampanii wrześniowej i sowieckiej niewoli został rozstrzelany w Lesie Katyńskim.

Podpułkownik **Franciszek Brożek** – jeden z założycieli Towarzystwa Sportowego „Wisła” Kraków. Kawaler orderu Virtuti Militari. Bramkarz Wisły, a w 1924 reprezentant Polski na igrzyskach olimpijskich w Paryżu w strzelectwie sportowym. W kampanii wrześniowej służył w Korpusie Ochrony Pogranicza – uwięziony w Starobielsku zginął na wiosnę 1940 roku w Charkowie.

Porucznik **Aleksander Marek Kowalski** – hokeista, dwukrotny olimpijczyk (St. Moritz – 1928, Lake Placid – 1932). Był absolwentem Wydziału Bankowego SGH, reprezentantem AZS Warszawa, pięciokrotnym mistrzem Polski. Wicemistrz Europy

z 1928 r., dwukrotny uczestnik mistrzostw świata, zdobył tytuł akademickiego mistrza świata. W 1930 r. powołany został do reprezentacji Europy na mecz z Kanadą. Jego udział we wrześniowej wojnie trwał trzy tygodnie. Aresztowany przez NKWD, po niewoli w Kozielsku zastrzelono go 3 kwietnia 1940 w Łasku Katyńskim. Miał 38 lat. Zidentyfikowany pod nr 2129.

Podporucznik **Stanisław Urban** – wioślarz, dwukrotny olimpijczyk (Amsterdam – 1928, 4. miejsce w ósemce, Los Angeles – 1932, brązowy medal w wyścigu czwórek ze sternikiem – z Braunem, Kobylińskim, Ślązakiem i sternikiem Skolimowskim). Był wielokrotnym medalistą mistrzostw Polski w wioślarstwie w różnych osadach, ale też czołowym rugbystą AZS Warszawa w latach 1928–1930. Wzięty do niewoli, osadzony w obozie w Kozielsku, zakończył życie najprawdopodobniej w Katyniu. Miał 32 lata.

Rotmistrz **Zdzisław Szczęsy Kawecki** – srebrny medalista drużynowego WKKW na igrzyskach w Berlinie (1936) – wraz z Sewerynem Kuleszą i Henrykiem Leliwą-Roycewiczem. Od 17 roku życia służył w Wojsku Polskim w formacjach kawaleryjskich. Sowiecka niewola zakończyła się strzałem w głowę w Katyniu. Miał lat 38.

Kapitan **Wacław Znajdowski** – pierwszy oficjalny rekordzista polski w rzucie młotem (1923 – 22,15 m). Reprezentant Polonii Warszawa, uprawiał również hokej i tenis. Był działaczem PZLA (od 1930 do wybuchu wojny – prezes związku) i wiceprezesem PKOl (1925–29). Sprawował funkcje kierownicze w reprezentacji olimpijskiej na igrzyskach w Paryżu (1924) i St. Moritz (1928). W kampanii wrześniowej walczył pod Tomaszowem Lubelskim. Więziony w Kozielsku, zamordowany przez NKWD w Katyniu. Miał 41 lat.

Kapitan **Kazimierz Karol Cybulski** – czołowy lekkoatleta lat dwudziestych (kulomiot, dyskobol, tyczkarz). Startował w barwach Pogoni Lwów. Jego osiągnięcia to: dziewięć tytułów mistrza Polski, pięć wicemistrzowskich, dwanaście rekordów Polski. Był członkiem reprezentacji przygotowującej się do startu na Igrzyskach Olimpijskich w Antwerpii (1920). Data tłumaczy jednak powód braku uczestnictwa w tej imprezie. Zamiast na igrzyskach znalazł się w okopach bitwy warszawskiej jako dowódca kompanii

piechoty 32 pułku. Więzień Starobielska, zginął w Charkowie. Miał 50 lat.

Kapitan **Tadeusz Stanisław Kirchner** – był wszechstronnym lekkoatletą Czarnych Lwów. Na pierwszych mistrzostwach Polski w 1920 roku został mistrzem w skoku wzwyż, wicemistrzem w rzucie oszczepem, brązowym medalistą w pchnięciu kulą i rzucie dyskiem. Miał startować na igrzyskach w Antwerpii, lecz zatrzymał go w kraju obowiązek obrony ojczyzny. Więziony w Starobielsku, zginął w Charkowie.

Kapitan **Tadeusz Kowalski** – lwowiak, piłkarz Czarnych, łyżwiarz figurowy. Wraz z Zofią Bilorówną dziewięciokrotnie zdobywali tytuł mistrzów Polski. Jako para zdobyli też brązowy medal mistrzostw Europy (1934) oraz czwarte miejsce na mistrzostwach świata w 1934 r. i piąte w 1935 r. Trzykrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Aresztowany przez sowieckie władze we Lwowie, osadzony w Starobielsku, został zamordowany w Charkowie.

Adam Obrubański – piłkarz, sędzia międzynarodowy, trener, dziennikarz, oficer Wojska Polskiego. Był napastnikiem Wisły Kraków i ŁKS-u. W latach 1922–24 pełnił funkcję kapitana związkowego (selekcjonera) reprezentacji narodowej. Jako pierwszy Polak – sędzia FIFA – sędziował mecz międzynarodowy (w Budapeszcie: Węgry – Austria). Zginął w Katyniu.

Zygfryd Wende – pięściarz wagi lekkiej. Zdobył trzykrotnie tytuł mistrza Polski (w tym raz podwójnie – w wadze lekkiej i półśredniej). Jako pierwszy Polak wszedł na ring mistrzostw Europy w Sztokholmie (1925). Osadzony w obozie w Ostaszkwie, zamordowany w Kalininie.

To zaledwie garstka życiorysów tych pochowanych we wspólnych mogiłach Katynia, Charkowa i Miednoje pod Twerem.

Nam żywym pozostaje jedynie pamięć. Szef polskich olimpijczyków chciał ich o tej pamięci zapewnić i przygarnąć do olimpijskiej rodziny. Zrobił więcej – stał się jednym z Nich.

14.04.2010

* Wykorzystano informacje z Wikipedia.pl

Ks. dr Michał Bajcar

Życie religijne Polaków na Ukrainie

Referat na konferencji naukowej z okazji 15-lecia Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie, 2009

KIERUNEK MYŚLI

1. Zmiana sytuacji religijnej na Ukrainie od „pierestrojki” Gorbaczowa, a mianowicie od okresu 1988–1991.

2. Wyzwania, które stanęły przed Kościołem i wspólnotami religijnymi: uleczyć człowieka, wrócić mu tożsamość, godność, pomóc odnaleźć każdemu jego własne korzenie – wszystko to, co zostało zabrane, zniszczone i co da się naprawić – dużo pozytywnego już się dokonało. Potrzeba czasu, nie pośpiechu, i wielkiej roztropności z właściwym kierunkiem leczenia, czyli wizją praktyczną.

3. Zbyt szybkie procesy religijne ludzi niereligijnych i upolitycznienie wspólnot religijnych, innymi słowy: polityka wdarła się do świątyn.

Do roku 1989, do „pierestrojki”, Kościół łaciński istniał w bardzo skromnych warunkach – po prostu można powiedzieć: ratował się jak mógł i zmagał z ogromną machiną władzy, która za wszelką cenę chciała go zniszczyć. W latach 60. Nikita Chruszczow mówił, że w latach 70 *ja wszystkim pokażę ostatniego wierzącego w Związku Radzieckim*. A co się stało i jest dzisiaj?

STAN KOŚCIOŁA ŁACIŃSKIEGO
W PAŃSTWIE UKRAIŃSKIM
OBECNIE, ADMINISTRACYJNIE

Kościół łaciński na Ukrainie obecnie obejmuje jedna metropolia lwowska, która składa się z archidiecezji lwowskiej (3 biskupów, 11 dekanatów, seminarium w Brzuchowicach, 4 obwody) i 6 diecezji: kijowsko-żytomierska (3 biskupów, 11 dekanatów, seminarium w Worzelu, 4 obwody), kamienieckopodolska (2 biskupów, 8 dekanatów, seminarium w Gródku Podolskim, 2 obwody), łucka (1 biskup, 2 dekanaty, 2 obwody), mukaczewska (1 biskup, 11 dekanatów, 1 obwód), charkowsko-zaporoska (2 biskupów, 7 dekanatów, 7 obwodów),

odesko-symferopolska (2 biskupów, 5 dekanatów, 5 obwodów).

STAN ARCHIDIECEZJI LWOWSKIEJ

obrz. łac. PRZED II WOJNĄ ŚWIATOWĄ

Według danych statystycznych z 1939 roku, jak podaje ks. bp Urban, do Kościoła rzymskokatolickiego w Archidiecezji Lwowskiej obrządku łacińskiego należało 1 079 108 wiernych. Pod względem administracji kościelnej, archidiecezja obejmowała 28 dekanatów i 416 parafii. Skład personalny duchowieństwa na dzień 5.11.1939 r. zamykał się wielkością rzędu 805 kapłanów.

STAN KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO
NA DAWNYCH KRESACH POLSKI
PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ

► **Kościół grecki**

Kościół katolicki obrządku greckokatolickiego na tzw. synodzie lwowskim w 1946 r. uległ całkowitej likwidacji. Unicy znaleźli opiekę duszpasterską w czynnych parafiach łacińskich. Większość duchowieństwa i wiernych została wcielona do cerkwi prawosławnej, a kto nie podporządkował się władzy sowieckiej, był prześladowany lub zsyłany na Sybir. Cerkiew greckokatolicka zeszła do podziemia, ale istniała, a to zawsze dzięki ofiarnej, odważnej i niebezpiecznej pomocy Kościoła łacińskiego i naszych kapłanów. Sporadycznie i w całkowitej konspiracji nabożeństwa dla grekokatolików prowadzili tajni kapłani. Dzięki staraniom proboszcza katedry lwowskiej, o. Rafała Kiernickiego, spośród katedralnych ministrantów około 10 zostało kapłanami obrządku greckokatolickiego. W podobny sposób pomagali grekokatolikom inni kapłani łacińscy, a także kapłani ze wschodniej Ukrainy, a mianowicie dając schronienie, wspierając materialnie kapłanów i świeckich. Pamiętam, że jak byłem młodym chłopakiem i ministrantem, nikt nie robił różnicy, wszyscy byliśmy wierzącymi, katolikami w jednym Kościele.

Każda pomoc łacińskich kapłanów dla unitów w oczach władz była odbierana jako przestępstwo względem władzy radzieckiej. Największym przestępstwem, za które groziło nawet zamknięcie kościoła, było spowiadanie wiernych przez księży z podziemia obrządku greckokatolickiego. Cerkiew greckokatolicka i jej hierarchia zostały wskrzeszone w 1989 roku. (Dziwna prawda: obecnie niektórzy z tych duchownych greckokatolickich i wiernych, którzy chronili się i wyrosli w kościele łacińskim, mają niechętny, wręcz można powiedzieć, wrogi stosunek do tego samego Kościoła, do Polaków. To tajemnica nawet dla mnie, który się na Kresach urodziłem).

► **Kościół łaciński**

Po wyjeździe księdza arcybiskupa Eugeniusza Baziaka i zdecydowanej większości wiernych obrządku łacińskiego Archidiecezja Lwowska mocno się skurczyła. Zostało otwartych zaledwie kilkanaście świątyń, a kapłanów było jeszcze mniej. Wierni łacinnicy trzymali się kościołów, które pozostały otwarte dzięki ofiarnej postawie polskich kapłanów. A to sprawiało, że zostawał ksiądz i stamtąd ludzie nie chcieli wyjeżdżać. Ci kapłani ofiarnie, z narażeniem życia, służyli wszystkim ludziom, różnych narodowości, kto szukał Boga.

W tym miejscu trzeba zaznaczyć i śmiało możemy mówić, że wierni łacinnicy, którzy zostali z różnych przyczyn i nie wyjechali, byli Polakami i nimi pozostali aż do dzisiaj. Kościół był tym skrawkiem ich świętego terytorium, tą ambasadą i tym kawałkiem Kraju, któremu zmieniono granice. Wierni, Polacy, którzy mieli kościół czynny blisko lub w niedalekich odległościach, byli w tej sytuacji szczęśliwsi, co dawało mocny azyl dla własnej tożsamości (moja babcia nie wyjechała, ponieważ został ksiądz w parafii i ona z rodziną została. Przy tym właśnie mówiła, że *tu jest moja Polska, gdzie jest mój dom i mój kościół*).

Natomiast inna grupa Polaków, w miejscowościach, gdzie nie było kościoła lub z innych przyczyn nie mogli do niego dojechać, asymilowała się ze społeczeństwem ukraińskim (zależało to od wielu czynników, a zazwyczaj w obawie o rodzinę, dzieci). I ta grupa Polaków po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości, pamiętając swoje korzenie, też próbowała otwierać zamknięte

kościół czy je budować, a także tworzyć Polskie Towarzystwa. W tym momencie rodzi się trudna kwestia do rozwiązania dla Kościoła: czy pomóc tym ludziom wrócić do tożsamości, przynajmniej tym, którzy chcą, czy wszystkich zrównać i skorzystać z łatwiejszej drogi i traktować ich jako wiernych łacinników, ale już Ukraińców (zdania w tej trudnej kwestii są podzielone).

Warto wymienić miejscowości, w których były otwarte kościoły po wojnie, do „pierestrojki”:

- województwo lwowskie: Lwów (katedra i św. Antoni, do lat 60. kościół św. Marii Magdaleny), Stryj, Sambor, Mościska, Nowe Miasto, Złoczów,
- województwo tarnopolskie: Borszczów, Hałuszczyńce i Krzemieniec (jako jedyna parafia należąca przed II wojną światową do diecezji łuckiej),
- w województwie stanisławowskim nie uchował się ani jeden kościół,
- natomiast w województwie czerniowieckim, które należało przed II wojną światową do diecezji Jassy w Rumunii, był czynny tylko kościół w Czerniowcach.

Warto wymienić niektórych kapłanów-bohaterów, którzy spełniali do końca obowiązek płynący z łaski powołania, a mianowicie: ks. Ignacy Chwirut, ks. Józef Hałuniewicz, ks. Karol Jastrzębski, o. Serafin Kaszuba, o. Rafał Kiernicki, ks. Hieronim Kwiatkowski, ks. Ludwik Seweryn, ks. Jan Cieński – późniejszy biskup, ks. Henryk Mosing, ks. Jan Olszański – późniejszy biskup kamieniecko-podolski, ks. Bronisław Mirecki, ks. Jakub Macyszyn, ks. Wojciech Olszowski, ks. Jan Szetela, ks. Edward Saletnik, ks. Skrobacz, ks. Franciszek Krajewski w Czerniowcach, ks. Tadeusz Hoppe w Odessie.

Na cmentarzu w Hałuszczyńcach na grobie ks. Bronisława Mireckiego, który zmarł w roku 1986 w wieku 83 lat, jest taki napis: *W trudnych czasach poświęcił się, nie opuścił nas i pozostał z nami na zawsze jako Dobry Pasterz.*

Obecnie Archidiecezja Lwowska obrządku łacińskiego liczy 154 000 wiernych, obejmuje obszar 68 000 km², co równa się powierzchni czterech obwodów (lwowski, tarnopolski, stanisławowski i czerniowiecki). Archidiecezja liczy 271 parafii w 11 dekanatach, które obsługują kapłani w liczbie 95 diecezjalnych i 45 zakonnych. ►

Warto wspomnieć czas nominacji przez Ojca św. Jana Pawła II ks. bp. Mariana Jaworskiego na arcybiskupa lwowskiego obrz. łac. 16 stycznia 1991 roku. Arcybiskupowi Jaworskiemu nie w takich realiach przyszło zaczynać, a należałoby zaznaczyć, że przybył on jako Pasterz do Archidiecezji, do wiernych, którzy cierpieli na brak hierarchii, czekali na nią, ale jednak przetrwali i nie poddali się i nie było to puste miejsce, lecz konkretne miejscowości i żywi pragnący Boga wierzący (starsze osoby w każdej miejscowości, które utrzymały kościoły i o kościoły starały się to są przede wszystkim Polacy, także Niemcy, Litwini, Ukraińcy; to jest ten prawdziwy skarb – *semper fidelis*, do którego można coś nowego przeszczepić, a bez niego nic na pustym miejscu nie wyrasta tak szybko).

W takiej rzeczywistości i skomplikowanych warunkach przyszło zaczynać księdzu Arcybiskupowi swoje pasterzowanie. Zanim pasterz zaczął wchodzić w tajemnice życia państwowego, religijnego, społecznego, a szczególnie ludzkiego, to już usłyszał deklaracje *głowy* Ruchu Narodowego Ukrainy Czornowola we Lwowie, że on nie akceptuje takiego stanu rzeczy. W tym czasie, kiedy ze stolicy Kijowa wiał łagodny wiatr napawający optymizmem i nadzieją, to we Lwowie, do którego wracał pasterz, zawiewał wiatr chłodu i złości. Aby uniknąć konfrontacji i niepotrzebnych emocji, Jego Ekscelencja zdecydował się na zwykłe i bez rozgłosu objęcie swojej katedry w maju 1991 r.

Trzeba zaznaczyć, że po odzyskaniu niepodległości Ukraina jako państwo stworzyła dobry system prawny, zapewniający wszystkim obywatelom wolność religijną, możliwość kultywowania swojej kultury, tradycji, języka. Również w tych kwestiach do-

tyczących mniejszości narodowych, a jest ich na Ukrainie niemało. Były wydawane różne dokumenty przez prezydenta, parlament, premiera, władze miejscowe, lecz w kwestii ich realizowania władza na różnych szczeblach sobie nie radzi, ponieważ nie widać przez 18 lat niepodległości Ukrainy konkretnej woli, w którym kierunku chciałyby i ma iść. To przecież elementy niepodległości państwa, gdy obywatele mają zapewnione prawa do wolnego i równego rozwoju, w tym religijnego, oraz budują swoje państwo, a ono, budowane przez wszystkich, chroni obywateli i samo się rozwija i wzmacnia (mam tu na myśli problem oddania plebanii w Gródku, który trwa 18 lat... Obietnica bez pokrycia. Podobna sytuacja z innymi obiektami sakralnymi, jest ich kilkadziesiąt).

Po upadku komunizmu i totalitarnego reżimu społeczeństwo mogło z ulgą odetchnąć, a nadzieja, która się pojawiła, dawała wszystkim oprócz radości wiele powodów do braku optymizmu. Rozpoczął się proces powolnego umierania systemu, który ciągle myślał za naród, za

każdego człowieka. Zaczynał umierać mechanizm, ale proces, który on zapoczątkował, nadal trwa w umysłach ludzkich. Jest to bardzo skomplikowana rzecz i można ją jedynie zauważyć, żyjąc z tymi ludźmi. Każda sytuacja życiowa niesie ze sobą możliwość odnalezienia klucza do tych trudnych spraw, a mianowicie ze spotkań z różnymi ludźmi, ich zachowaniami, ich sposobem myślenia. Człowiek jako obywatel państwa i w tymże samym czasie wierny wspólnoty kościoła – on jest obiektem zainteresowania i pracy.

Kolejnym problemem, z którym zmagają się Kościół łaciński na Ukrainie, jest stan materialny Kościoła, czyli świątynie jako miejsce kultu i modlitwy. Niewiele za-



bytków na kresach przetrwało okres komunizmu bez uszczerbku. Kościoły i klasztory rzymskokatolickie należą, obok zespołów pałacowych, do grupy, która pod rządami wojujących z religią komunistów doznała największej szkody. Większość z nich władze sowieckie zamknęły dla kultu, przeznaczając do innych celów. Spichlerze, magazyny nawozów sztucznych, hale targowe, dworce autobusowe, więzienia, koszary, a nawet szpitale psychiatryczne – to tylko kilka przykładów nowej funkcji, zacierającej pierwotny charakter obiektu.

Sporą grupę stanowią świątynie, które władze sowieckie celowo wysadziły w powietrze. Pod koniec lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych fala rujnacji szalała najmocniej. W tym czasie został wysadzony w powietrze kościół parafialny w Tarnopolu w stylu neogotyckim, poświęcony w 1908 r. z udziałem arcybiskupa metropolity Józefa Bilczewskiego, dzisiaj naszego świętego pastora. W 1912 r. miały miejsce



w tym kościele prymicje ks. Eugeniusza Baziaka, tarnopolanina, który został później arcybiskupem lwowskim.

Upadek komunizmu na Ukrainie przyniósł nadzieję na zmianę sytuacji. Wiele świątyń zwrócono odradzającym się parafiom rzymskokatolickim. Wierni niemal natychmiast, najczęściej własnymi siłami i z wielkim entuzjazmem, podjęli konieczne prace naprawcze i remontowe. W tym czasie zmian i nadziei Polaków i innych mniejszości narodowych państwo ukraińskie nic nie zrobiło, aby ludzie innych narodowości mieli swoje centra kulturowe, własne szkolnictwo, prasę, radio. Jednym słowem państwo nie wyszło naprzeciw oczekiwaniom Polaków: wszystko, co mają oni na Ukrainie, mają dzięki Kościołowi, później Towarzystwom, a te z kolei wspomaga Polska, a nie kraj, w którym żyją. I dlatego Polacy tak kurczowo i zajadle trzymają się swoich kościołów

i ich bronią, bo to jest jedyna instytucja, którą tworzą, w której wzrastają i czują się bezpieczni i chętnie przyjmują innych na ewangelicznych zasadach, dzieląc się całym bogactwem łańcisno-rzymskiej cywilizacji, która daje każdemu człowiekowi poczucie wolności, tożsamości i odpowiedzialności za siebie, rodzinę, kościół i ostatecznie kraj, w którym żyje. Tylko Kościół wcześniej nigdy tych ludzi nie zawiódł, co w obecnych czasach nowości i młodości bywa różnie.

I tak naprawdę śmiało można powiedzieć: to młode państwo ukraińskie bardziej potrzebuje silnego kościoła łańcisnego i świadomych, religijnych, mądrych Polaków na Ukrainie niż Polacy potrzebują państwa, które i tak mało co dba o własnych obywateli (tak samo

możemy powiedzieć o innych wspólnotach religijnych, a w nich o wiernych Ukraińcach, Rosjanach czy innych mniejszościach narodowych). Kraj to konkretni ludzie, a nie wirtualna rzeczywistość i szkoda, że tak niewielu rządzących na Ukrainie to rozumie.

ŚWIĄTYNIE NASZE W UŻYTKU INNYCH

Dużą grupę dawnych kościołów zamieniono na cerkwie greckokatolickie bądź prawosławne. W tych przypadkach, jeżeli nie brano pod uwagę argumentów i norm prawnohistorycznych, robiło się wielkie zamieszanie. Trzeba być wdzięcznym mądrości ludzi, którzy w miejscowościach, gdzie dawniej była świątynia rzymskokatolicka, a nie było greckokatolickiej czy prawosławnej, używają kościoła przez te właśnie wspólnoty, ponieważ nie ma wiernych łańcisników. Przystosowanie obiektów do nowej funkcji liturgicznej niesie ze sobą zagrożenie dalszego zniekształcenia ich architektury i wyposażenia. Jest wszakże i pewną szansą. Zdarza się bowiem, że uświadomienie nowym użytkownikom wartości „diedzicznych” dzieł pozwala uniknąć bezsensownych zniszczeń. ►

Ten sam kościół po dewastacji i odnowie. Obie zdjęcia zapożyczono z wyd. „Kościół i klasztory ...” pod red. J. Ostrowskiego

Ten sposób podejścia do problemu zwrotu świątyni był stosowany w czasie „pięrestrojki”, kiedy rządziła administracja sowiecka w tym nowym duchu wolności religii i sumienia, kiedy władza jeszcze miała coś do powiedzenia.

Obecnie sytuacja zmieniła się, i to w gorszą stronę. Stosuje się dzisiaj zasadę ... *my mamy władzę i my decydujemy, jak interpretować prawo*. W tym przypadku dziwna jest postawa niektórych duchownych greckokatolickich i także urzędników, w większości grekokatolików, a mianowicie mówią oni do wspólnot prawosławnych, które użytkują dzisiaj cerkwie, iż powinni oddawać świątynie, bo były przed wojną grekokatolickie, a kiedy wspólnoty łacińskie starają się o odzyskanie swoich kościołów, to słyszą od strony grekokatolickiej stwierdzenie – a to przed wojną było wasze, a teraz to nasze, bo my mamy władzę i my decydujemy, do kogo co ma należeć (bolesny przypadek: grekokatolicy w Komarnie mają dwie własne świątynie i jeszcze zabrali kościół, taki stan rzeczy trwa od 1991 r., bo to oni sami stanowią prawo. Inny przykład – pozytywny, gdy chodziło o oddanie plebanii w Strzałkowicach koło Sambora. Miejscowa władza na miejscu w ciągu kilku miesięcy rozwiązała problem i na obecny czas już jest pięknie odremontowany budynek, który razem z kościołem upiększają wieś. A tok myśli pani sołtys był taki, że ksiądz i wspólnota kościoła jest częścią społeczności gminy i problem dawnej plebanii, czyli mieszkania dla kapłana i nauki dzieci i młodzieży w nim, trzeba rozwiązać tak, aby skorzystała cała społeczność, ponieważ ksiądz jest osobą publiczną dla ludzi, a nie sam dla siebie).

Zdarza się też tak, że po otrzymaniu do wykorzystania świątynie łacińskie wspólnoty grekokatolickie lub prawosławne zaczynają przebudowywać budowlę sakralną na styl wschodni i wtedy traci się wartość architektoniczną i piękno sztuki sakralnej. Dobitym przykładem tej niesprawiedliwości jest wspomniany kościół w Komarnie, zabytek klasy zerowej. Rzymscy katolicy muszą adaptować grobową kaplicę na cmentarzu.

Kościół dominikanów w Tarnopolu, jeden z najwspanialszych zabytków polskich przełomu baroku i rokoka z XVIII wieku, też klasy zerowej, został na siłę zabrany przez wspólnotę grekokatolicką. Wierni łacinnicy

musieli gromadzić się w kaplicy na cmentarzu, a od 2008 roku mają nowo wybudowany kościół.

Te okoliczności – innym słowem można je nazwać nienormalnościami – są największym wyzwaniem dla ks. abpa Mieczysława Mokrzyckiego i wszystkich kapłanów pracujących w archidiecezji lwowskiej na linii państwo-Kościół i Kościół-państwo, Kościół łaciński i Cerkiew greckokatolicka czy prawosławna.

Przełom 1989 roku przyniósł możliwość konfrontacji wyobrażeń z rzeczywistością. Kościół łaciński na Ukrainie w całości, a archidiecezja lwowska w szczególności, stały się teraz polem bitwy o ludzi i ich sumienia, o tożsamość. Na kościół pał ciężar uzdrawiania samego człowieka, który jest drogą Kościoła i fundamentem każdego państwa.

Paradoks polegał na tym, iż w każdej wspólnocie religijnej był człowiek, który szukał Boga, Jego pragnął i w tymże samym czasie był człowiekiem, który walczył z Bogiem, Kościołem i zwalczali się nawzajem. Do tego dochodzi jeszcze splądrowanie przez władzę sowiecką duchowo-moralne społeczeństwa, które potrzebuje leczenia i uzdrowienia.

* * *

Ukraina i Kościół na Ukrainie potrzebują tożsamości, która została zabrana ludziom mieszkającym w tym kraju. Wspólnoty religijne posiadające swój nadprzyrodzony charakter wiary w Boga, Jezusa Chrystusa, poprzez mądre w duchu Ewangelii i troski o każdego człowieka – skierowania wszystkich potrzebujących pomocy do właściwego lekarza (mentalność miejsca i każdy człowiek jako osoba indywidualna).

Jeżeli dzisiaj uniwersalność Kościoła uczy nas o jedności, Unia Europejska jednoczy się w jeden organizm ekonomiczno-społeczny, to kraje na postsowieckiej przestrzeni i ludzie w nich żyjący potrzebują procesu stania się sobą, znalezienia i wszczęcia do swoich korzeni, zbliżenia się do własnej kultury, religii, języka, nauczania się akceptacji innych, a do tego potrzeba czasu i pomocy Ducha Świętego. Niektórzy mówią, że trzeba się spieszyć, bo ludzie odchodzą do sekt. Mogę Państwa zapewnić, iż w ciągu

dokończenie na s. 12

Janusz M. Paluch

W KRZEMIĘNCU WIELKI ŻAL

25 marca 2010 r. w Krzemieńcu zmarła Irena Sandecka, legendarna działaczka na rzecz polskości i polskiej kultury. Za kilka dni, 1 kwietnia, ukończyłaby 98 lat. Mieszkała w domu, w którym żył twórca i dyrektor Ogrodu Botanicznego w Krzemieńcu, profesor Wilibald Besser. Ten dom w testamencie zapisała „Wspólnocie Polskiej”, która była dla niej gwarantem, że po Jej odejściu służyć będzie Polakom i polskiej kulturze.

Przez lata była strażniczką polskości w mieście Juliusza Słowackiego, opiekunką grobu jego matki. Była poetką opiewającą piękno owianej legendami Góry Królowej Bony, nauczycielką i autorką ręcznie napisanego i ilustrowanego, legendarnego *Elementarza Krzemienieckiego*. Gdy wybuchła II wojna światowa, wróciła do Polski, do Lwowa, z Belgii, gdzie pracowała z tamtejszą Polonią, by stanąć w obronie ojczyzny. Po sowieckiej agresji 17 września znalazła się w rodzinnym Krzemieńcu. W czasie wojny pracowała w konspiracji,

niosąc pomoc Polakom poszkodowanym przez nacjonalistów ukraińskich. Mieszkańcy jednej z polskich wiosek, uciekający przed oddziałami UPA, zawdzięczali jej życie (zorganizowała im eskortę wojsk niemieckich). Udało się Jej także wywieźć kilkadziesiąt polskich dzieci, uratowanych z ukraińskich pogromów, do Krakowa. Ich rodzice zostali zamordowani.

Po wojnie wraz z matką została w Krzemieńcu. Opiekowała się kościołem, prowadziła kościelny chór, uczyła dzieci nie tylko języka polskiego, także polskości. Po upadku ZSRR była jedną z założycielek Towarzystwa Odrodzenia Kultury Polskiej im. Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu. Wraz z Jej odejściem skończyła się w Krzemieńcu cała epoka. Żyć będzie Jej dzieło, ale czy znajdzie ono opiekuna, godnego następcę Ireny Sandeckiej?



Pani Irena Sandecka oprowadza po Krzemieńcu grupę zwiedzających. Tu – na Górze Bony

Odszedł lekarz

... staramy się, by zniknął urzędniczy stosunek do chorych, do stanowienia prawa medycznego, i żeby zawód lekarski rzeczywiście służył człowiekowi. Bo za najistotniejsze uważam, że jest to zawód-powołanie, który daje możliwość służenia.

Te słowa, które zacytowaliśmy, nie należą do lekarskiej frazeologii, bo wyszły spod pióra lekarza niezwykłego i niezawodnego. Był nim zmarły niedawno Profesor Tadeusz Chruściel, prezes Naczelnej Rady

Lekarskiej w pierwszej kadencji odrodzonego samorządu (1990–94), wybitny naukowiec w dziedzinie leków i farmakoekonomiki, wieloletni kierownik Zakładu Farmakologii Śląskiej Akademii Medycznej i doktor *honoris causa* tej uczelni.

Tadeusz Lesław Chruściel urodził się we Lwowie w 1926 r. jako syn Stanisława i Bronisławy, nauczycieli. Jego ojciec był w jakimś okresie dyrektorem Domu Sierot na Kadeckiej Górze (tuż obok Szkoły Kadeckiej). Uczęszczał do szkoły św. Antoniego, rozpoczął naukę w gimnazjum, przerwana wybuchem wojny i kontynuowaną na tajnym nauczaniu. Równocześnie uczęszczał do szkoły chemicznej, ale świadectwo dojrzałości uzyskał dopiero po ekspatriacji w Łańcucie. ▶



Prof. Tadeusz Chruściel udekorowany Krzyżem Wielkim OOP. Obok jego następcy na stanowisku prezesa Naczelnej Rady Lekarskiej: dr Konstanty Radziwiłł (po lewej) oraz dr Maciej Hamankiewicz

Studia medyczne podjął na Wydziale Lekarskim UJ w Krakowie, doktorem został w 1951 r., siedem lat później – docentem, zaś w 1966 r. profesorem nadzwyczajnym.

Od początku swej pracy zawodowej T. Chruściel interesował się farmakologią kliniczną. W latach 1968–75 pracował w Światowej Organizacji Zdrowia w Genewie, był kierownikiem programu WHO ds. alkoholizmu i uzależnień lekowych, a następnie był kierownikiem zakładu w Instytucie Leków w Warszawie. W 1985 r. objął Zakład Farmakologii Klinicznej i Społecznej w Centrum Kształcenia Podyplomowego. W pracy naukowej zajmo-

wał się miążdżącą, właściwym użytkowaniem leków, nadużywaniem i uzależnieniami od leków, dopingiem i narkomanią*. W 1990 r. został profesorem zwyczajnym. Jest autorem ponad 300 prac naukowych.

Równoległe z pracą zawodową i naukową, prof. Chruściel był niezwykle aktywny w pracach społecznych, przede wszystkim w Naczelnej Radzie Lekarskiej, której był pierwszym – jak na wstępie informowaliśmy – prezesem i organizatorem. W 1980 r. należał do „Solidarności”. Działał aktywnie w ZG Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich, w Prymasowskim Komitecie Opieki nad Internowanymi i Aresztowanymi przy Radzie Prymasowskiej (1981–85).

Profesor Tadeusz Chruściel był odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł w lutym bieżącego roku, spoczął na warszawskich Powązkach.

Następca Tadeusza Chruściela na stanowisku prezesa Naczelnej Rady Lekarskiej, Konstanty Radziwiłł, napisał po Jego śmierci:

Panie Profesorze, szkoda, że nie ma Pana z nami. Proszę pamiętać o nas spoza zasłony Tajemnicy. My Pana nie zapomnimy!

Profesorowi T. Chruścielowi został poświęcony w dużej części nr 3/2010 „Gazety Lekarskiej” (Warszawa). Znalazły się tam artykuły o pracy i działalności Profesora, jak i wspomnienia. Z wypowiedzi dowiedzieliśmy się m.in. o pomocy, jakiej udzielał środowisku polskich lekarzy za jałtańskim kordonem.

* To tylko niektóre, ważniejsze etapy i miejsca pracy oraz działalności Profesora.

dokończenie ze s. 10

10 lat mojej pracy w Gródku żaden wierny nie poszedł do sekty.

Tajemnica perełki, którą jest Lwów i Kresy, a mianowicie jedni mogli stworzyć ją, w niej zgodnie żyć i z niej korzystać, natomiast inni dostali perełkę, ale nie potrafią nie tylko z niej skorzystać, lecz nawet docenić, co dostali...

Na zakończenie chcę powiedzieć taką rzecz: nie zapominajmy jeszcze o tym, że teren byłego Związku Radzieckiego jest jed-

nym wielkim cmentarzyskiem, ta ziemia kryje wiele tajemnic ludzko-boskich i bosko-ludzkich, na które można znaleźć odpowiedź tylko z perspektywy śmierci i wieczności. Ile niewinnych ludzkich żywotów urwanych, szlachetnych planów niezrealizowanych, mszy św. nieodprawionych, spraw niedokończonych, grzechów nieodpokutowanych, dzieci nienarodzonych, krwi niewinnej przełanej. Czy o tym pamiętamy i o pomoc Bożą prosimy?

Autor jest proboszczem w Gródku Jagiellońskim.

Tadeusz Mossoczy

MOJE WSPOMNIENIA Z WRZEŚNIA 1939 ROKU



Urodziłem się we Lwowie w 1934 roku. Ochrzczony byłem w kościele parafialnym pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła na Sygniówce przy ulicy Parafialnej. W 1941 r. zacząłem uczęszczać do szkoły powszechnej nr 77 przy ul. Gródeckiej.

Ta relacja to opowieść o wydarzeniach tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, jak i o pierwszych dniach wojny i okupacji, widzianych oczami dziecka. Miałem wówczas pięć lat i wiele spraw było dla mnie niezrozumiałych. W domu wychodziło się jakiś niepokój, rozmowy schodziły często na temat wojny, a ja i moje rodzeństwo, starsza siostra i dwóch braci, byliśmy często świadkami tych rozważań.

Jest 17 sierpnia – czwartek, jadę z mamą na pielgrzymkę do Kochawiny (miejscowość koło Żydaczowa, na trasie Lwów–Stryj), gdzie znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Kochawińskiej. To moja pierwsza podróż pociągiem. Pamiętam, że wsiadam po schodkach do wagonu prawie samodzielnie, a mama mnie tylko asekuruje, abym nie spadł pod wagon. Pokazuje mi mama to drzewo, gdzie zawisł cudowny obraz, jestem w dużym kościele i widzę ten cudowny obraz. Wszystko to dla mnie nowość, a mam modlić się o to, aby zapanował pokój, by nie było wojny, o zdrowie rodzeństwa i babci itp.; tak kazała mama. Po południu, już po pracy, zjawia się również tato i wieczorem razem wracamy do domu.

26 sierpnia – sobota, żegnamy tatę, który z kartą mobilizacyjną stawia się do wojska, ma funkcję pisarza. Mama codziennie jeździ do taty, do koszar.

1 września – piątek, mama pojechała do taty, a my z babcią zostajemy w domu i przeżywamy pierwsze naloty. Mieszkamy koło lotniska w Skniłowie, to znaczy na Sygniówce, ul. Cudnowska 61 – z jednej

strony boczna z ul. Gródeckiej, a z drugiej ul. Główna, przedłużenie ul. Lubieńskiej. Rodzice w tym miejscu kupili parcelę w 1932 r. i wybudowali dom w 1933/1934 r. Poprzednio mieszkali z dziadkami przy ul. Królowej Jadwigi nr 25, gdzie byli współwłaścicielami kamienicy. Z radia słysząc apele, że w razie alarmu należy schodzić do piwnicy, słyszymy również nawoływania o dostarczenie opatrunków, białych prześcieradeł na bandażę itp. W piątek w naszym domu, jak zwykle, jest częściowy post; jemy barszcz czerwony z ziemniakami. W południe wraca mama z koszar od taty, nie wiem, czy go widziała, jest ranna, ma zabandażowaną głowę, kapelusik dziurawy w ręce (później wisiał na strychu na pamiątkę), szczęśliwa, że wszyscy są cali i zdrowi. Wieczorem wpada na krótką chwilę tato, jest szczęśliwy, że wszystkich zastał całych; podwiózł go jakiś wojskowy. Widzę u taty w kaburze pistolet, chyba VIS, imponowało mi to – i tyle widzieliśmy tatę. Alarmy, naloty, a my coraz częściej boimy się odgłosów wybuchu bomb. Nasz sąsiad, wybitny strateg nazwiskiem Ryłski, doradza naszej mamie i babci, aby okna do pewnej wysokości zasypać ziemią; miałyby to częściowo zmniejszyć odgłos wybuchów, a dzieci nie słyszałyby wycia syren alarmowych i wybuchów bomb. Wobec tego między jedną kwaterę a drugą sypią ziemię, uprzednio wkładając tekturę, papier falisty i gazety; pomaga w tej pracy również nasz



Kościół św. Piotra i Pawła na Sygniówce, obecnie cerkiew prawosławna. W głębi widoczny nowy kościół, rozpoczęty przed wojną.

Przedwojenny projekt nowego kościoła obrz. lac. na Sygniówce, niedokończony do II wojny.

sąsiad. Na drugi dzień widzimy przez górną, niezasypaną kwartę, jak okrada nasze drzewka z jabłek, gruszek i śliw, a także kradnie częściowo z ogródka – jednym słowem: złodziej – a na zwróconą uwagę przez naszą mamę odpowiada, że on też musi żyć.

24 września wraca z wojny nasz tato, częściowo w cywilnych ciuchach, broń zakopali z innymi żołnierzami gdzieś w lesie. Idziemy razem do miasta zobaczyć szkody po nalotach, po drodze widzimy bramę triumfalną, przyozdobioną czerwonymi i niebiesko-żółtymi flagami oraz cieszących się Ukraińców i Żydów. Nie możemy zrozumieć, że jest wojna z Niemcami i Niemców nie widać, natomiast są bolszewicy z gwiazdami czerwonymi na czapkach, ubrani byle jak, w parcianych butach, z karabinami na sznurkach.

Prokuratura Generalna (ul. Romanowicza 11), zakład pracy mego taty, został zlikwidowany; pracował tam na stanowisku kierownika kancelarii. Po wkroczeniu bolszewików, z początku tato ukrywał się u krewnych, bo okupant nie odróżnia prokuraturii od prokuratury. Po niedługim czasie tato dostał pracę na kolei jako blacharz; widziałem pierwsze wiaderko przezeń wykonane: woda lała się z niego lepiej jak z polewaczki ogrodowej. To nie były ręce do takiej pracy. W domu bieda, gdzieś ktoś ukradł na kolei beczkę rycynusu, więc do podziału przewidzieli i mego tatę. Dostał bańkę tego luksusu i to była przez jakiś czas nasza omasta. Na tym smażyło się placki ziemniaczane, pokropiło się chleb kartkowy, tzw. komiśniak. Omasta ta miała i zalety, trudno było kichnąć lub zakasłać. W czasie wizyty u lekarza, naturalnie z mamą (nie wiem, co mnie bolało) lekarz chciał mi przepisać olejki rycynowy, ale mama wytłu-



maczyła mu, że ja mam to na co dzień. Wyszedłem obronną ręką, zapisał mi czekoladki przeczyszczające, bardzo słodkie. Pamiętam, że słodził w tym czasie sacharyną lub czasami landrynką, ale to już był luksus. Z przygotowań do wojny pamiętam maski przeciwgazowe w ilości 4 sztuk, przeznaczone dla rodziców, babci i siostry, a na nasze bużki żadna nie pasowała, później bawiliśmy się nimi.

Jest niedziela, 22 października – wielkie święto we Lwowie. Ogłoszono wybory do „Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy”. Po drugim upomnieniu, a raczej przypomnieniu, poszli rodzice i babcia do wyborów; naturalnie wszyscy szubrawcy zostali wybrani jednogłośnie. Z kolei nam byt poprawił się, tato został magazynierem w tzw. spółdzielni „Kopremont” na Gabrielówce (Garbarnia). Już mamy smalec, czasem masło, marmoladę, chodzimy w butach skórzanych, na łyżwach jeździmy też w butach skórzanych, tak więc przez wszystkie trzy okupacje nie chodziliśmy w drewniakach.

Miałem tę opowieść skończyć na 1 września, a posunąłem się kawałek dalej. Moje starsze rodzeństwo cofnięto o rok niżej w szkole nr 77 przy ul. Gródeckiej. Mama ze starszym bratem musiała odstać w kolejce, aby oddać radio lampowe, w razie nieoddania też groziła wywózka. Słyszac stale o aresztowaniach i wywózkach mama uszyła nam woreczki z tasiemkami na szyję, w których znajdowała się metryka urodzenia, medalik, obrazek św., książeczka do nabożeństwa (jeszcze nie umiałem czytać), kilka kartek z zeszytu i ołówki kopiowy. Było to przygotowane na wypadek, gdyby nas rozdzielono przy wywózce na Syberię.

A dalsze moje losy?

W roku 1946 przedostatnim transportem, tj. 13 czerwca, opuszczamy Lwów i kończymy pierwszy etap naszej podróży w barakach PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny). Po dwóch tygodniach zamieszkujemy w Opolu przy ul. Niedurnego 11. We wrześniu 1946 r. mieszkamy już w Zabrze. Tu kończę szkołę średnią i zaczynam pracę w GIG (Główny

Przedwojenna szkoła powszechna (nr 77) na Sygniówce. Obecnie mieszczą się tam sklepy.



Instytut Górnictwa), Zakład nr 4 w Zabrzu, a po jego likwidacji pracuję w Zarządzie Przemysłu Koksochemicznego w Zabrzu i z kolei po likwidacji centralnych zarządów zostają przeniesiony do nowo powstałego Instytutu Chemicznej Przeróbki Węgla – Zakład Techniki Ciepłej w Zabrzu. Wszystkie w tym samym budynku – starym pałacu. Pracuję tam na stanowisku kierownika zespołu. Moja praca na ogół była w terenie, gdzie zajmowałem się nadzorem nad budową, montażem, regulacją i rozruchem baterii pieców koksowniczych i gazowni w całym kraju i za granicą. W latach osiemdziesiątych byłem radnym bezpartyjnym w dzielnicy Kraków-Śródmieście. W roku 1982 przechodzę do pracy Hucie im. Lenina w Zakładzie Koksochemicznym na stanowisko zastępcy kierownika wydziału.

Kończąc pracę w roku 1991, idąc na rentę zdrowotną. W okresie czynnego życia zawodowego byłem odznaczany za długoletnią nienaganną pracę licznymi odznaczeniami resortowymi i państwowymi, między innymi: Srebrnym i Złotym Krzyż Zasługi, Medalem Czterdziestolecia, Kawalerskim Krzyżem Zasługi. Obecnie przebywam na emeryturze, jestem żonaty ze stażem 52 lata, mam dwóch dorosłych synów, czworo wnucząt i czekam cierpliwie na prawnuki.

Styczeń 2010 r.

Przeczytane

Merkel za muzeum wysiedleń

Kancelerz Niemiec Angela Merkel potwierdziła swoje poparcie dla planów stworzenia w Berlinie muzeum poświęconego wysiedleniom Niemców. Mimo trudności „warto kontynuować prace” – oświadczyła. – Pamięć o ucieczce i wypędzeniu jest częścią wspólnego rozumienia 60-letniej historii RFN – powiedziała na dorocznym przyjęciu niemieckiego Związku Wypędzonych w Berlinie [z prasy krajowej z 17 III '10]

Zadajemy sobie pytanie, dlaczego władze Polski po 1990 roku (bo o PRL-u trudno mówić) nabrały wody w usta w sprawie dramatu, jakiego doznali Polacy z połowy terytorium swego ojczystego kraju w czasie I po II wojnie. „Poprawność polityczna” wobec nowych sąsiadów na wschodzie? Ależ oni to całkiem opacznie rozumieją, a swoje robią coraz brutalniej. Ze swoimi metodami Polska daleko nie zajędzie...-

Jadwiga Leszczuk, Elżbieta Dziwisz

Lakowa kasetka z drugiej szuflady

Wspomnienia Jadwigi Leszczuk

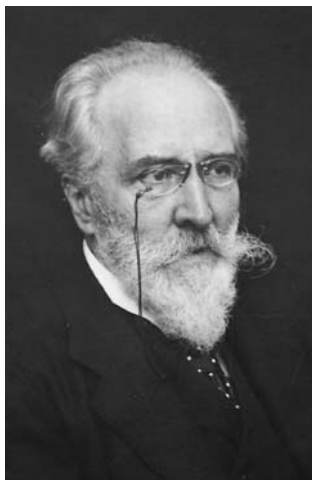
Nigdy za życia cioci Zosi* nie przyszło mi do głowy, aby wysunąć którąś z szuflad w jej mieszkaniu, nawet wtedy, kiedy już leżała sparaliżowana. Zrobiłam to dopiero po jej śmierci, latem 2008 roku. W drugiej od dołu szufladzie sekretrety znalazłam lakową kasetkę owiniętą w serwetę z niedokończonym haftem. Wieko zdobił rysunek strzępiastej chryzantemy. Nietrudno było się domyślić, że kryje rodzinne pamiątki.

Wyjmowałam je po kolei.

Najpierw złote binokle pradziadka Tadeusza Rutowskiego, bo leżały na wierzchu. Te same, w których został sportretowany w 1913 roku przez Stanisława Kaczor-Batowskiego. Pradziadek Rutowski był z wykształcenia prawnikiem, po doktoracie na Uniwersytecie Wiedeńskim, publicystą, wydawcą, koneserem sztuki, posłem do Sejmu Krajowego Galicji i przez całe lata wiceprezydentem, a po wybuchu pierwszej wojny prezydentem miasta Lwowa. Lwowiacy go kochali i szanowali, miał nawet swoją ulicę, która obecnie nazywa się Teatralna**, a pani profesor Henryka Kramarz napisała niedawno jego biografię. I tak jak o nim wiadomo dużo, i to zarówno z tej książki, jak też z rodzinnej legendy – tak o dziadku Wilhelmie Stanku w pamięci pozostało nieporównanie mniej.

Należał do niego portfel z krokodylęj skóry. Wewnątrz zachowały się ostatnie listy pisane do warszawskiego szpitala przez Zofię Stankową, z domu Rutowską, jego żonę, a moją babcie (w rodzinie ze strony mojego ojca w linii żeńskiej powtarzają się imiona Jadwiga, Zofia, a w trzeciej kolejności – Maria). Było w tych listach o tym, że nie powinien martwić się ani o majątki, ani o rodzinę i dzieci, bo wszystkie sprawy biegną pomyślnie i tylko ta jedna troska towarzyszy wszystkim, aby on był zdrow. Każde z czwórk dzieci napisało do tatusia osobno, całując jego kochane ręce i zapewniając o modlitwie.

Wspomnienie



Już się nie zobaczyli. Do Krechowa pod Lwowem wrócił w trumnie. A te listy i portfel razem z nim. Czy jako konsul austriacki w Istambule, potem więzień wojenny, a następnie pacjent w uzdrowiskach i lecznicach, miał ze sobą przechowywane przez babcię w kasetce pukiel jasnych włosów i pudełeczko, a w nim trzy mlecz-

ne zęby dzieci, spinkę do krawatu z rzymską monetą na szczęście, muchę do fraka, perłowe spinki do mankietów koszuli oraz mały, oprawiony w srebro przybornik z farbami? Może tak, a może nie.

Za to na pewno filigranowy notesik w srebrze wraz z dziadkiem Wilhelmem do szpitala nie powędrował, bo należał nie do niego, a do babci Zosi. Jeszcze za panińskich czasów dostała go od niego i to wówczas, kiedy nawet nie był jej oficjalnym narzeczonym, a więc pannie nie uchodziło przyjmować prezentów od kogoś takiego. Ale nie zważając na etykietę Wilhelm go Zosi wręczył. A ona szybko schowała prezent przed mamą, a potem wpisała drobnym pismem po francusku, że nie wie, czy dzisiaj się zobaczą, ale jak on przyjdzie, to ona w niczym mu nie da poznać, jak bardzo na niego czekała. Takie miała plany. Chyba nie zostały zrealizowane, skoro Wilhelm szybko się oświadczył i został przyjęty. Po ślubie zamieszkali w pięknym dworze, w Wiszence, mając do wyboru jeszcze dwa inne dwory: w Krechowie, na wschód od Żółkwi, i w Kulawie, położonej w stosunku do Żółkwi po stronie północnej.

Ale nie zawsze rodzina była razem. Dziadek Wilhelm Stanek znał aż siedemnaście języków, pracował w austriackiej służbie konsularnej, a po wybuchu pierwszej wojny trafił do rosyjskiej niewoli. W 1918 roku wymienili go podobno na 40 oficerów rosyjskich, ale wrócił chory. I już się z tej choroby nigdy nie podniósł. Ciężko mu było umierać w wieku zaledwie 50 lat zostawiając żonę

z małutkimi dziećmi. A może odchodził nie mając świadomości śmierci, może we śnie? Śnie na dodatek pogodnym, zwiewnym i lekkim, a nie dusznym, dławiącym i bolesnym? Może. Tego się nie dowiem.

Ani też tego, kim był mężczyzna, który do koperty z białego, czerpanego papieru włożył zaproszenie na swój ślub i latem 1938 roku wysłał cioci Zosi. Miała wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat. Wcześniej z tym panem młodym zakładała stawy w rodzinnym Krechowie, aby majątek uchronić od parcelacji (do wojny wybudowano ich tam aż 97 hektarów!). Kiedy stała na werandzie i czytała, że państwo młodzi wraz ze swymi rodzicami mają zaszczyt zaprosić ją na uroczystość zaślubin w kościele takim a takim, w dniu tym a tym – w alei różanej w jednej chwili opadły wszystkie kwiaty. Nagle! Wszystkie! Płatki róż białe, złociste i różowe leżały na trawniku, a kiedy powiał wiatr, to polatywały do góry, jak motyle. Bo ciocia Zosia Stankówna była taka. Wypełniona nadnaturalną energią, chociaż u osoby głęboko religijnej wiara w nadprzyrodzone moce miejsca nie miała. I ciocia w te tajemne moce nie wierzyła. Tyle tylko, że parę razy pod wpływem jej wzroku wywróciła się fura z sianem. To się widocznie rozniosło, a więc chłopcy w czasie wózki siana bardzo ciocię Zosię prosili, aby nie szła w kierunku ich pól. Bo to i siana szkoda, a nieszczęście też przytrafić się może, dziecko z wozu spadnie albo koń okuleje. Lepiej nie.

Ciocia Zosia nie tyle była sprzymierzona z tajemnymi mocami, co raczej sama należała do ludzi mocnych i zdecydowanych. Na szczęście! Bardzo wåtpliwe, czy bez tego przeżyłaby sześć lat zesłania do Krasnojarskiego Kraju, obwód igarski, nad Jenisejem, w miejscowości Dzieńezkino i Kurejka. Zaczęło się to jej aresztowaniem 7 października 1950 roku (mając ukończone studia rolnicze pracowała wówczas jako agronom w stacji traktorowej w Jaryczowie pod Lwowem) i było poprzedzone półrocznym pobylem w lwowskim więzieniu. Powód aresztowania? Ciocia Zosia była elementem socjalnie niebezpiecznym z powodu ziemiańskiego pochodzenia! Potem, już na Syberii, okazało się, że lepiej byłoby mieć na swoim koncie zapisane jakieś konkretne przewinienie. A tak, nie należąc do żadnej grupy

przestępców, przez cały okres pobytu na zesłaniu nie mogła korzystać z amnestii. Gdyby nie porozumienie Gomułki z władzami ZSRR o powrocie deportowanych Polaków, to ciocia odbyłaby pełne 10 lat zesłania, bo tyle jej gwarantował wyrok wydany przez specjalny zaoczny sąd w Moskwie.

Polską granicę przejechała 8 grudnia 1957 roku wioząc ze sobą „Order Czerwonej Gwiazdy”, przyznany jej za udział we współzawodnictwie pracy, oraz radio. I to byłoby wszystko, co miała. Z tym stawiała się w Krakowie, gdzie jako repatriantka dostała przydział na pokój we wspólnym mieszkaniu (zamieszkała w nim ze swoją matką, Zofią Stankową, wdową po Wilhelmie Stanku) i pracę w Instytucie Botaniki PAN u profesora Władysława Szafera. Znając biegle trzy języki bardzo była tam użyteczna. W 1966 roku doktoryzowała się w Wyższej Szkole Rolniczej w Krakowie (temat jej pracy doktorskiej: *Studia porównawcze nad aklimatyzacją roślin uprawnych na północnej granicy zasięgu rolnictwa w ZSRR*). Rok później w Arctic Institute w Montrealu wygłosiła referat *Plant life conditions in the Siberian Arctic*. Materiały – mówiła słuchaczom – zbierałam pracując między innymi w kotchozie „Polarna Gwiazda” w Dzieńżkinie nad Jenisejem. Przed nami, najbliższą rodziną, nie ukrywała, że nocami śnią jej się syberyjskie śniegi, ona w łodzi rybackiej ciągnąca sieci, karmiąca cielęta, ona na pryczy w zimnym, wspólnym baraku...

Ale wróciła. Dożyła sędziwego wieku 94 lat. Swoje wspomnienia spisała i opublikowała w trzech książkach***. Tego szczęścia nie miał jej wuj, Andrzej Rutowski, jedyny syn pradziadka Tadeusza. Jako oficer rezerwy został aresztowany we Lwowie i rozstrzelany w Katyniu. W każde kolejne Święto Zmarłych 1 listopada zaraz po wejściu na cmentarz Ra-

kowicki, przy pomniku-kolumnie po prawej stronie, stawialiśmy świecę na znak pamięci o nim. I tak jest nadal. Tyle tylko, że idziemy trochę dalej, pod Krzyż Katyński, który mógł stanąć dopiero wtedy, kiedy tamten system wraz z wojskami radzieckimi stacjonującymi w Polsce od końca drugiej wojny odszedł tam, skąd przyszedł.

Kiedy z powrotem wypełniłam lakową kasetkę tym, co w niej przechowywała babcia Zosia Stankowa (po jej śmierci trafiła do córki), wysunęłam następane szuflady sekretery. A z nich – po otwarciu pudełek i pudełeczek – wybiegły dzieci młodsze i starsze, z kokardami we włosach, w sukienkach z falbankami (w takie sukienki ubierano też małych chłopców) i w marynarskich bluzach, wyszły zalotnie spoglądające panny oraz ich mamy i babcie w eleganckich kreacjach i niezwykłych kapeluszach, wymaszzerowali dziarscy oficerowie, za którymi postępowali panowie we frakach i surdutach, w kontuszach i przy karabelach lub w togach i z łańcuchami symbolizującymi sprawowane urzędy... Na zdjęciach i pocztówkach wyłoniły się odciśnięte mocno w rodzinnej pamięci dwory wiejskie oraz Lwów, miasto ukochane i własne, i to niezależnie od tego, co w tej sprawie postanowili władcy świata na konferencji w Jalcie.

Dopiero teraz, patrząc na zdjęcie wież lwowskich kościołów i katedr (biało-czarne, o wielkiej sile ekspresji, którą wywołują zwłaszcza sterczące jak halabardy niezwykłego wojska iglice kościelnych wież), zdałam sobie sprawę z tego, że o tym mieście nie mówiło się u nas nigdy w formie wspominków. Dla mojej całej rodziny Lwów był stale nasz, a jeśli tak, to można było do woli wędrować po jego ulicach, parkach i zaułkach, zerkać na repertuar Opery Lwowskiej, zachodzić do restauracji w hotelu George'a przy placu Mariackim na wysmienitą południcę po wenecjańsku albo iść na ciastka do cukierni Zalewskiego, bo takich ciastek jak tam nie ma nigdzie na całym świecie! Wszystko to odbywało się w wyobraźni, ale na tyle często i prawie realnie, że Lwów znałam lepiej niż wiele miast w dzisiejszej Polsce, gdzie kolejno mieszkali rodzice. Wiedziałam, gdzie należy skręcić, którymi ulicami iść, aby osiągnąć w tym mieście dowolny punkt.



Zofia Stanek w latach przedwojennych

Dlatego też kiedy w okresie Świąt Wielkanocnych w 1975 roku po raz pierwszy pojechałam do Lwowa, nie miałam kłopotu z topografią miasta. Tutaj taki plac, tam taka ulica, wszystko się zgadzało z opowieściami taty, babci i cioci Zosi, ale zobaczyłam i zrozumiałam, że to na pewno już nie jest nasze miasto. Ulicami tego miasta ciągnęły szpalery szarych ludzi, obcych nie tyle z języka (z tego też, ale nie ten ich śpiewny język miał największe znaczenie), a z racji obyczajów, sposobu odnoszenia się do siebie nawzajem i do mnie, dla nich tutaj obcej. Chodzili ulicami najwyraźniej dla zabicia czasu. Kiedy ktoś z nich mnie potrącił, na próżno mogłam oczekiwać słowa *przepraszam* czy choćby przyjaznego gestu. I te zaśmiecone chodniki. Wykroty. Ten Chrystus z odstrzeloną głową na dziedzińcu Katedry Ormiańskiej. Patrząc na tragicznie okaleczoną rzeźbę, zdałam sobie sprawę, że teraz obraz powinien się dopełnić. Muszę pojechać na cmentarz Łyczakowski. Najwygodniej będzie przy placu Kapitulnym wsiąść do tramwaju numer siedem, który staje pod samą bramą cmentarza.

Pojechałam tam z mieszkającą we Lwowie Halinką Makowską (jesteśmy w podobnym wieku), która do tej pory daje świadectwo polskiej historii miasta. Najpierw poszłam z nią na grób pradziadka Tadeusza Rutowskiego (zmarł zaraz po powrocie z rosyjskiej niewoli w 1918 roku) i jego żony Jadwigi z Bogdańskich. Na wysokim cokole przysiadł potężny lew. Jest zmęczony. Tak wygląda nagrobek w alei zasłużonych, który swojemu prezydentowi ufundował magistrat.

W dwa lata później osierocił rodzinę dziadek Wilhelm Stanek. Został pochowany w pobliżu pradziadka Rutowskiego. Żona

wystawiła mu nagrobek z rzeźbą umęczonego Chrystusa, piękną i niezwykłą. W twarzy jeden ból i ofiara za ludzkie przewiny. Kiedy odchodziłyśmy od tych obu grobów, zauważyłyśmy, że kręca się koło nas jacyś młodzi mężczyźni. Zagadnęli nas o coś, a wtedy Halina ścisnęła mnie za rękę i wyszeptała:

– Nic nie mów! To są szpicle!

I poszłyśmy na Cmentarz Orłąt Lwowskich. Zdruzgotane kolumny, przewrócone nagrobki, wysypisko śmieci – na pierwszy rzut oka. Patrząc na to, uświadomiłam sobie naszą krzywdę. Jesteśmy odcięci od przeszłości tą potworną granicą na wschodzie i od teraźniejszości żelazną kurtyną na zachodzie. A my pomiędzy. Grób jest miejscem pamięci. Ja na groby najbliższych iść nie mogę, światła im nie postawię... Ale skoro jest, jak jest, to chociaż o tyle dobrze, że ojca tu ze mną nie ma (on nigdy do Lwowa nie pojechał, i dobrze – byłoby to dla niego traumatyczne przeżycie). Historia wyraźnie zakpiła sobie z takich Stanków, Rutowskich, a także tych chłopców, dzieciaków jeszcze, którzy ze szkolnymi podręcznikami w tornistrach sięgnęli w 1920 roku po karabiny. A teraz ostatnie ślady ich ziemskiego bytu taką stały się zawadą, że aż trzeba je zniszczyć.

Czasami nie należy wstydzić się łez, a więc ich się nie wstydzę. W tamtą Wielkanoc chodziłam po cmentarzu Łyczakowskim i płakałam.

Ale płacz nie może długo trwać. Ani rozpamiętywanie. Ciocia Zosia, w przeciwieństwie do swojego brata, a mojego ojca, była osobą czynu. Po powrocie z Syberii do Polski wyjeżdżała do Lwowa przy każdej okazji, nie po to jednak tylko, aby tam palić światła na grobach (to też), ale aby zawieźć ludziom, którzy na to czekali, specjalne lwowskie cukierki (ich wwożenie było wtedy surowo zakazane). Bardzo żałuję, że ani mnie, ani mojej siostrze nikt nigdy nie zrobił zdjęcia, jak siedzimy obie i te lwowskie cukierki pakujemy. Ciocia je wymyśliła. Aby bezpiecznie przewieźć do Lwowa medaliki i różańce, owijała je (a my razem z nią) w papierki po cukierkach. I nigdy nikt ich u niej nie odkrył.

Ale raz na granicy wpadła. Wiozła Biblię wydrukowaną cyrylicą. Było to takie prze-



Autorka wspomnienia ze swoją ciotką Zofią Stanek, ostatnie lata XX w.



stępsstwo, za które traciło się wtedy prawo wjazdu do Kraju Rad. I ciocia Zosia niestety na dłuższy czas musiała zaniechać podróży do Lwowa.

Na szczęście nie na zawsze. Jak tylko po paru latach dostała pozwolenie, to od nowa zabierała z Polski co trzeba... i w pociąg.

Rozdrapywanie ran i obrażanie się na historię, że jest taka, a powinna być zupełnie inna, nie pasowało do ciocia Zosi Stankówny

(za męża nie wyszła, nawet sama rosyjska pani prokurator ją o to zapytała ciekawie, bo jak to? i ładna, i bogata...), chociaż ta historia potrafi odebrać przeszłość – i z nami tak było.

Ale znowu nigdy nie jest tak, że nie zostanie zupełnie nic, żaden ślad. A te zdjęcia? A książki i dokumenty? Męski cylinder i gorsety od damskich sukien zachowane na dnie szafy? Rękawiczki? A kasetka nieduża, lakowa, ozdobiona chryzantemą, kwiatem pamięci...

* Autorka była bratanicą dr Zofii Stanek (1917 Krechów k. Żółkwi – 2008 Kraków).

** Ulica ta nazywała się Teatralna również przed jej przemianowaniem na Rutowskiego po jego śmierci.

*** *Listy z Syberii* (1991), *Biała gama* (1997), *Na osi* (2001).

JADWIGA LESZCZUK, z domu Stanek, córka Jana Stanka, wnuczka Wilhelma Stanka i prawnuczka Tadeusza Rutowskiego. Ur. na Górnym Śląsku, studia prawnicze na UJ, prowadzi własną firmę w Krakowie.

Tekst oparty na kanwie powyższych wspomnień ukazał się również w numerze grudniowym '09 miesięcznika „Kraków”.

Naszym zdaniem

W ostatnich dniach marca br. wydano na Litwie kopertę, na której zamieszczono podobizny „katów” narodu litewskiego: Stalina, Hitlera i... Piłsudskiego. Stało się to w parę tygodni po serdecznej rozmowie w Wilnie polskiego premiera i litewskiej prezydent, panny Grybauskaitė. Nasuwa się pytanie, czy nasza „poprawność polityczna” jest w ogóle opłacalna? W państwie litewskim nie dopuszcza się dwujęzycznych nazw ani pisania polskich nazwisk wedle naszej pisowni (co ostatnio zatwierdził sejm litewski), nie mówiąc o innych szykanach (choć Litwa też należy do UE). Czy na zasadzie retorsji nie należałoby – na dobry początek – zlikwidować dwujęzycznych nazw na Suwalszczyźnie? Bo co my z tego mamy?

Na marginesie: zwróćmy uwagę, że obecna prezydent Litwy nosi nazwisko polskiego w istocie pochodzenia, choć przekręcone na sposób litewski: Grybauskaitė to *panna* Grzybowska: *gr* – bo nie mają *grz*, *ow* zmieniają na *au* (jak w białoruskim), zaś *-aitė* to końcówka dla panny, jak u nas *-ówna*. Pan Grzybowski to Grybauskas, pani Grzybowska to Grybauskienė – końcówka *-ienė* podobna do naszej *gospod-yni* albo *Dulęb-iny*, ale z istoty rzeczy nie stosowana w naszych nazwiskach typu przymiotnikowego na *-ski*. Byłby to nonsens językowy.

I tak chcą zrobić z wszystkimi nazwiskami polskimi!

I jeszcze drugi przykład *głębokiej przyjaźni*, jaką darzą nas litewscy nacjonałści, cytujemy z prasy („Dziennik Polski” z czerwca 2010):

Litewski Sejm zaaprobował projekt nowej wersji ustawy, która zakłada, że w szkołach z polskim językiem nauczania część przedmiotów ma być wykładana w języku litewskim.

Jadzia Cieczkiewicz

– przyjaciółka na zawsze (2)

Dokończenie z nr. 2/10. Po pierwszej części pominięto informację o dokończeniu w tym numerze – za co Autorkę i Czytelników serdecznie przepraszamy.

Robiła też na drutach kraciaste spódnice, wzorzyste szaliki w męskim i damskim wydaniu (w zależności od tego, dla kogo były przeznaczone). Miała też czas na dokarmianie ptaszków, a przede wszystkim na opiekę nad Pusią, zamieszkującą terrarium ulubioną świnką morską, która była równie złożoną indywidualnością jak jej pani.

Pomocy i opieki, jakiej doznała w ostatnich dramatycznych latach życia ze strony brata, nie da się przecenić. Chciałabym i jemu, a także jego działalności parę słów poświęcić.

Pan inż. Zbigniew Cieczkiewicz jest równie głęboko zaangażowany w sprawy lwowskie jak starsza siostra, a nawet w szerszym rozmiarze. Jeszcze przed powstaniem Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW udzielał się przez wiele lat w Sekcji Kresowej warszawskiego oddziału PTTK. W latach 1986–2001 przygotował i wygłosił około 160 pogadek na tematy kresowe, m.in. o Wesołej Lwowskiej Fali, o historii stosunków polsko-ruskich, o dziejach polskiej granicy wschodniej, o wojennych losach lwowskich uczelni, o wojennej historii Karoliny Lanckorońskiej. Spisał też w latach 2000–01 przeszło 600 stron liczące wspomnienia – od wczesnej młodości po czasy dzisiejsze. Ja ze szczególnym zainteresowaniem, a nawet zaangażowaniem powracam do zeszytu II wspomnień, który obejmuje okres gimnazjalny. Pan Zbigniew był uczniem VIII Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego i snuje z dużym poczuciem humoru, ale też sentymentem barwne wspomnienia o dyrektorze, profesorach i uczniach, szkolnych wydarzeniach i przygodach. W tym gimnazjum uczył mój ojciec – polonista, tam też uczęszczał mój brat. Profesorowie opisani we wspomnieniach to dobrze mi znani koledzy i przyjaciele ojca, który był również opiekunem tamtejszej I Lwowskiej Drużyny Harcerskiej. W tej drużynie mój brat był zastępowym, a potem przybocznym. Harcerze



ci utrzymywali ze sobą kontakt po wojnie, urządzali spotkania w Sobótce koło Wrocławia, byłam przez nich zapraszana. Ostatnie takie spotkanie wciąż malejącej grupy „weteranów” odbyło się w Korzkwi. Od tego czasu wciąż dochodzą smutne wiadomości o kolejnych odejściach. Tak jak wiadomość o odejściu Jadzi.

Na zakończenie wypada dodać, że spuścizna po Jadwidze Cieczkiewicz, liczne książki o tematyce lwowskiej oraz o charakterze patriotycznym, a także wytworzone przez nią zbiorki przysłów, „bafaku” itp. znalazły swe miejsce w Kolekcji „Leopolis” Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Anna Pawlak

Cisną się wspomnienia...

Nasza wierna Czytelniczka, pani Anna Pawlak, zamieszkała dziś w Toruniu, nadesłała nam swoje wspomnienia, jakie wzbudziła w Niej lektura czwartego numeru CL z ubiegłego roku (CL 4/09). Miło nam było to czytać...

1. Czytając *Przysięgę na lwowskim polu...* (na str. 2) miło mi było wspomnieć te czasy na żywo. Mieszkaliśmy (rok 1925) przy ul. Gipsowej 32. Chodziłam do szkoły im. Marii Magdaleny, co było dla sześciolatki daleko, więc rodzice przenieśli mnie do pobliskiej szkoły im. H. Sienkiewicza – duży czerwony budynek wyróżniał się swą wielkością wśród domów i willi mieszkańców. Uczylam się w tej szkole 6 lat. Dzieci wiedziały, czym ta szkoła była, jakim patriotycznym miejscem dla Obrony Lwowa.

2. Na str. 3. Obraz malarza Stanisława Batowskiego *Lwów, listopad 1918 r. – atak na Cytadelę*. Odżyła moja pamięć. Willa prof. Batowskiego (przy ul. św. Zofii) została całkowicie zburzona, nieoceniona strata. Państwo Batowscy wobec tego zamieszkali w naszym mieszkaniu, u naszej mamy przy ul. Pułaskiego 14. Staruszkowie ledwie się trzymali po tej życiowej stracie. Raz odwiedził ich syn Henryk z Krakowa. Z biegiem czasu zaszła potrzeba wyjazdu ze Lwowa, o czym Profesor nie chciał słyszeć – do końca życia Lwowa nie opuści – co też się stało.

3. Wiersz Inki Czechowicz. Tak to było, że razem chodziliśmy do Gimnazjum SS. Nazaretanek (Unii Lubelskiej 9) – nawet siedzieliśmy razem w tej samej ławce! Inka (jako rodzina wojskowa) została z matką i siostrą Teresą w 1940 r. wywieziona do Semipałatyńska i tam pracowała w cegielni. Pisała do nas piękne, żalodne wiersze, a myśmy nic nie mogli pomóc oprócz wysyłanych paczek z żywnością skromną. Inka siłą losu drogą okrężną dostała się do Londynu i tam po latach pobytu zmarła na serce.

Załączam serdeczne pozdrowienia lwowsko-toruńskie. Mam 90 lat życia, a dużo



o Lwowie pamiętam. Jak to prędko przecieciało!

I jeszcze z drugiego listu Pani Anny:

Po przyjeździe (z Poznania) do Lwowa w 1925 r. zamieszkaliśmy w profesorskiej kamienicy przy ul. Gipsowej 32 – była to kamienica zbudowana przez Politechnikę Lwowską dla profesorów pracujących na tej uczelni. Z czasu naszego mieszkalnego pobytu pamiętam nazwiska tych profesorów, a m.in. Kazimierza Idaszewskiego (z żoną Niemką), Antoniego Plamitzera z rodziną, Witolda Aulicha z rodziną i krótko mieszkającego prof. Bryłę. Niedaleko nas, przy ul. Gipsowej, mieszkał też prof. Pazdro z synami.

Nasze pięciopokojowe mieszkanie było piękne, a w nim czteroosobowa dzieciarnia mogła swobodnie rosnąć i bawić się. Z biegiem lat, gdy mieliśmy już za sobą saneczkowe zjazdy z górów Franza i wypadki na łyżwy na tzw. „Pelczynie” – lwowskie szkoły były dla nas otwarte. I tak IV Gimnazjum męskie im. Jana Długosza, żeńskie im. Królowej Jadwigi (jeszcze w starym budynku przy ul. św. Mikołaja, potem przy ul. Potockiego), gimnazjum ss. Nazaretanek oraz Szkoła Ćwiczeń przy szkole im. Marii Magdaleny.

Dla nas, uczącej się młodzieży, szkoły, do których uczęszczaliśmy, oraz Konserwatorium Muzyczne przy ul. Chorążczyzny, były

(z ul. Gipsowej) za daleko. Rodzice postanowili przeprowadzić się bliżej miasta – na ul. Szaszkiewicza 3. Była to mała, zamknięta ulica, boczna Sapiehy, blisko Sykstuskiej. Ale źle się nam tam mieszało. Naprzeciw naszej kamienicy było ukraińskie konserwatorium muzyczne, w którym Ukraińcy odbywali swoje śpiewno-grające ćwiczenia, a wieczorem głośno puszczały filmy, w czasie których nie mieliśmy chwili spokoju.

Rodzice znaleźli lepszy sposób na życie. Przeprowadziliśmy się na ul. Herburtów 1a, do willi-zameczku wśród sosen i zieleni. Nareszcie byliśmy szczęśliwi – ale nie na długo! Willę tę w niedługim czasie zakupił Henryk Kistryn, z zamiarem utworzenia tam gimnazjum dla chłopców.

Niestety trzeba było znowu się przeprowadzić, tym razem na ul. Kadecką (zdaje się 40). Kamienica była nowoczesna, robiła piękne wrażenie.

Nastąpił wrzesień 1939 roku, a z nim okrutna wojna. Zostaliśmy sami, walcząc z ruskami i Niemcami. 22 IX zabrał nam mieszkanie jakiś radziecki oficer, więc znowu eksmisja. Znaleźliśmy się przy ul. Ziemiałkowskiego 8, z dwiema rodzinami „bieżeńców”. Co robić? Sowieci znaleźli radę, przez wywóz, ale myśmy się ochronili.

22 VI 1941 weszli do Lwowa Niemcy. Z kamienicy przy ul. Ziemiałkowskiego zrobili lazaret dla swoich rannych żołnierzy. Nie dało rady. Musieliśmy się wyprowadzić na ostatni adres – Pułaskiego 14.

Z tego mieszkania w 1946 r. już tylko moja Mama – po śmierci staruszków Batowskich – musiała wyjechać z prawie pustym plecakiem – musiała, bo pod groźbą wyjazdu na wschód zdecydowała się spotkać z resztą rodziny w Krakowie.

Przeżyliśmy tę wojnę – co było cudem. A dziś? Z sześciuosobowej rodziny żyje tylko ja z lwowską pamięcią i Bożą Łaską.

Bardzo serdecznie dziękujemy, Pani Anno, za te wspomnienia. Prosimy o dalsze!

ANNA PAWLAK, z d. Borowicz, ur. 1920 w Poznaniu. Od 1925 do końca II wojny we Lwowie, uczęszczała do Gimn. ss. Nazaretanek. Studia na Wydz. Farmaceutycznym AM w Gdańsku. Praca i kierownictwo w kilku aptekach na Pomorzu. Obecnie mieszka w Toruniu.

Ewa Brodzisz-Śliwicka

Co warto wiedzieć o Lwowie

Na samym pograniczu stepowego Podola, tuż przy głównym europejskim dziale wód, w krainie zwanej Rostoczem, rozpocziera się lwowski-lubieński płaskowyż. Zeszła się tu troista rzeźba i przyroda: stepu, nizin i gór. Z właściwości terenu wypływają odrębne stosunki klimatyczne Lwowa (temperatura, ilość opadów, kierunek wiatru). Miasto ma łagodniejszy klimat, a jego cechy klimatyczne zależą także od jednej osobliwości przyrodniczej: Lwów usytuowany jest na wielkim europejskim dziale wód. Miasto nie ma wielkiej rzeki, natomiast tuż nad śródmieściem przebiega granica zlewisk. Dokładnie na tym dziale leży kościół św. Elżbiety, a dalej na Zniesieniu fabryka wódek Baczewskiego. Woda deszczowa ściekająca z dachu kościoła płynie z jednej strony do Morza Czarnego, a z drugiej do Bałtyku. Natomiast w dorzeczu Dniestru rozsiadł się Dworzec Kolejowy.

Również flora we Lwowie i pod Lwowem jest inna niż w innych częściach Polski: czarnomorska sąsiaduje z bałtycką. Rośliny z różnych stron żyją zgodnie obok siebie. Karpacki widłak rośnie na skałach pod Brzuchowicami, północne astragalusy w lasach sosnowych nad stawem Janowskim, wołyńskie storczyki i sasanki w Hołosku i Zubrzy, sasanka wołyńska dochodzi do Piaskowej Góry, podobnie jak tojad mołdawski i jaskier kaszubski dalej na zachód nie sięgają. Z Karpat zabląkała się paproć „jeleni język”, a z dalekiego południa zawędrował na ziemię lwowską krzew, zwany tu „kłokoczką”, której nasiona służą jako paciorki do robienia różańców. Istnieje jeszcze owoc nieznan w innych rejonach Polski, a jego początek wywodzi się z przedmieścia lwowskiego. Owoce te są duże, czarne i słodkie, coś pomiędzy wiśnią i czereśnią; jako mieszaniec pomiędzy tymi dwoma rodzajami został na-

Łamten Lwów

zwany „czerechą kleparowską”, bowiem na przedmieściu Lwowa, na Kleparowie, drzewo to po raz pierwszy znaleziono, a potem uprawa w Dublinach i w Wólce Kapitańskiej na Zamarstynowie wyprowadziła czerechę w świat. Już w 1858 roku w *Pomologii* Dochnała jest opisana pod nazwą *Kleparover Suess-Weichsel*, we Francji nosi nazwę *Griotte de Kleparow*.

Fauna też jest bogatsza o gatunki nie znajdujące w innych częściach Polski. Żaba „moczarowata” przynależy do elementów niżu północnego, a żaba „śmieszka” jest mieszkanką dalekiego wschodu. Motylek, zwany „dostojką”, którego miejsce zasiedlenia jest na wschodzie, od Pekinu po Krym, u nas lata między Lwowem i Winnikami.

Różne są odmiany roślin i zwierząt, różny jest też człowiek lwowski. On też przyszedł z różnych stron. Lwów leżał na szlaku handlowym, spotykali się tu, a często osiadali na stałe przybysze ze wschodu i zachodu, z północy i południa. Według Jana Czekanowskiego, antropologa i etnologa, profesora Uniwersytetów we Lwowie i Poznaniu, typ lwowianina to blondyn o okrągłej twarzy, zielonkawych oczach, ambitny, żyjący z rozmachem, spostrzegawczy, wytrwały i zawzięty.

Ale do tego dochodzi krew ormiańsko-grecko-turecko-tatarsko-niemiecko-włoska i miesza się z tą lwowską. Jednakże ta krew zmieniała tylko cechy fizyczne lwowianina. Lwowianin nie dawał się nigdy ani „zgermanizować”, ani „zruszczyć”, natomiast obcy przybysz, osiedlając się we Lwowie, szybko ulegał spolszczeniu. Kto już dziś pamięta, że nazwy Kulparków i Zamarstynów poszły od niemieckich, tu osiedlonych, rodów Goldbergów i Sommersteinów, a ojciec wielkiego poety Wincentego Pola nazywał się Poell i był austriackim urzędnikiem. A Grek Konstanty Korniański? To jemu zawdzięczamy sławną i piękną wieżę, zdobiacą Lwów do dzisiaj.

Lwów był miastem handlowym. Tu przybywali z towarem między innymi Ormianie, a oczarowani urodą mieszczek i szlachcianek lwowskich, żenili się z nimi i osiadali na stałe. Kupcy byli bogaci, więc budowali dla siebie wspaniałe kamienice, bogato zdobione w stylu wschodnim. Dlatego architektura miasta różni się nieco od architektury innych miast Polski. Żeniąc się ze

szlachciankami stawali się sami szlachciami, a status szlachcica (sprawa honoru) nie pozwalała dalej zajmować się handlem, który w związku z tym przechodził w ręce napływających Żydów.

Język lwowski też jest inny. Obserwatorzy w dawnych czasach mówili, że jest nieporządny. Wytykali „tajojkom”, że noszą krawatki i cwikiery, a wódkę piją z *flaszeki*, a nie z butelki. Wiadomo, że lwowianin nie śpi tylko *spi*, i nie śpiewa lecz *spiewa*. Akcent w języku lwowianina pada na tę samą, drugą od końca, zgłoskę co w języku centralno-polskim, ale na wymówienie zgłoski akcentowanej lwowianin używa tak wielkiej siły wydechu, że na wymowę sąsiednich zgłosek brak mu już powietrza. Dzięki temu w języku lwowskim tyle niedopowiedzianych do końca samogłosek. A lwowianki mówią wdzięcznie jak Japonki: *Ta tatu, ta ja tu*.

Miał Lwów jeszcze jedną wielką wartość, która stanowiła o duszy miasta – to prawdziwy lud miejski. Żaden proletariatski, ale *prawdziwy lud miejski*. Z tego ludu wyszedł niedejan wielki, zasłużony dla miasta człowiek, jak na przykład syn mularza Ozimka na Łyczakowie, J.B. Zimorowicz, historyk, poeta, burmistrz i obrońca miasta. Był to lud mocny, bitny, często o niewyparzonej gębie, ale umiejący słuchać i zawsze gotowy na wezwanie, gdy ktoś potrafił go porwać w jakiejś sprawie dla miasta. Gdy trzeba było sypać Kopiec Unii Lubelskiej – pierwsi chwyтали za taczki i łopaty, gdy trzeba było bronić miasta – chwyтали za broń.

I lwowski batiar – śpiewa, bo lubi; piosenka przedmiejska jest zadziorna, zuchwała i sentymentalna. Nie tylko przedmieście śpiewa. Ulica lwowska również. Mówi, myśli i żyje głośno. Czasem za głośno. Batiar przetrwał wszelkie zawirowania dziejowe i wszędzie w Polsce czuje się jak w domu. Gdziekolwiek wypadnie mu się znaleźć, uczy ludzi swojej wiary. Cała Polska wtóruje jego tęsknocie za Lwowem i nie może się nadziwić, że ta tęsknota nie zamiera. Batiar lwowski tęsknie śpiewa: *Może uda si, że powróćym zdrów i zobaczem znowu Lwuf!*

Opracowano na podstawie książki Stanisława Wasylewskiego Lwów, z serii „Cuda Polski”.

Z Barbarą Wachowicz, autorką „Wiernej Rzeki Harcerstwa”, rozmawia Janusz M. Paluch



Skauting, harcerstwo w Polsce związane są z nazwiskiem druha Andrzeja Małkowskiego. Czy to przypadek, że pierwsze drużyny skautowskie powstały właśnie we Lwowie?

Przypomnijmy, że w październiku 1909 roku warszawski tygodnik „Świat”, a w listopadzie tegoż roku lwowski dziennik „Słowo Polskie” podały wiadomość o nowej organizacji młodzieżowej, powstałej w Anglii, a noszącej nazwę skauting od *scout* – zwiadowca. Organizacja ta, która właśnie obchodzi swoje szlachetne stulecie, narodziła się z inicjatywy generała Roberta Baden Powella, prawnuka po kądzieli legendarnego generała Nelsona, zwycięzcy spod Trafalgaru. W zamierzeniu Baden Powella skauting połączyć miał wojenne doświadczenia młodziutkich zwiadowców z traperską tradycją życia wolnego człowieka w puszczy, rozmiłowanego w przyrodzie. Hasłem organizacji było: *Pierwszy kraj, potem ja*. Twórca skautingu wydał w roku 1908 książkę *Scouting for boys*, którą przełożył na polski i dostosował do polskich realiów druha Andrzeja Małkowskiego.

A czy to przypadek, że Lwów stał się kołębłą harcerstwa polskiego?

*Jest miasto w polskiej ziemi. W tego
miasta bramie
Lew stoi, więc go nigdy żadna moc nie
złamie*

– tak pisał Kornel Makuszyński, wielki miłośnik tego niezwykłego miasta, w wierszu *Uśmiech Lwowa*. Niezwykłe to miasto. Z lwem w herbie i w sercu. Z owym napisem wykutym na dworcu kolejowym „Leopolis semper fidelis” – *Lwów zawsze wierny*. Uroda wspaniałej architektury – *My jesteśmy z polskiej Florencji* – pisał rozkochany we Lwowie i tęskniący za nim Marian Hemar. Zewsząd bił majestat historii. Miasto przechowywało z pietyzmem dokument króla Władysława Jagiełły z 1389 roku: *Lwów i ziemia lwowska nigdy żadnemu księciu ani panu oddane nie będą, ale po wieczne czasy z Koroną Królestwa Polskiego nierozdzielnie mają stanowić całość*. Lwów hołubił pamięć króla Jana III Sobieskiego, uczczonego wspaniałym pomnikiem na Watach Hetmańskich, przypominającym ów sierpień roku 1675, gdy jego skrzydlata husaria w pył rozbiła tatarsko-turecką armię stojącą już u wrót miasta. Zwycięzca spod Wiednia po królewsku ocenił Lwów: *Miasto to swem wykształceniem, męstwem, trwałą wiernością względem Rzeczypospolitej zasłużyło na wiekopomną sławę*. I te słowa można odnieść do każdej epoki Lwowa, także i czasów, gdy rodziło się tam polskie harcerstwo.

Sienkiewicz i Wyspiański powrócili w swej twórczości do tej chwili, gdy w kwietniu roku 1656 tłum lwowian padł na kolana wokół kaplicy, w której znajdował się obraz cudownej Matki Bożej. Król Jan Kazimierz *Maryję pełną łask za Patronkę i Królową państwa* obierał. Od roku 1817 powiewał nad Lwowem wielki sztandar kultury polskiej – Ossolineum. W tym zakładzie zaiste Narodowym, fundowanym przez Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, a przebudowanym przez znanego architekta Józefa Bema (bardziej znanego rodakom jako generał, bohater listopadowego i węgierskiego powstania) – zamykała się wielka tradycja, wielki świat historii i humanistyki ojczystej. To przecież tutaj pani Salomea Słowacka ofiarowała rękopisy swego jedynaka z owym testamentem, który pójdzie poprzez poko-

lenia: *Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei... A kiedy trzeba na śmierć idą po kolei jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec.* We Lwowie wyrastały sławy naszej nauki, polonistyki, historii. W 1892 roku przyjechał do Lwowa Stefan Żeromski i napisał do narzeczonej: *To śliczne miasto. Europejskie, piękne, pyszne, czyste, ulice przepyszne, zabudowane gmachami wspaniałymi (...). Jaki park, jakie chodniki, jakie oświetlenie.*

We Lwowie działa od roku 1867 Polskie Towarzystwo „Sokół” o skromnej i niegroźnej nazwie – Gimnastyczne. O jego idei mówią słowa: *„Sokół” gromadzi pod swe skrzydła wszystkie dzieci Ojczyzny bez różnicy stanów (...). W „Sokole” krzypimy wiarą ducha. „Sokół” obejmuje swą działalnością wszystkie trzy zabory. W sześćsetlecie Jagiellowego zwycięstwa w lipcu 1910 roku „Sokół” organizuje w Krakowie wielki Złot Grunwaldzki. W całej Polsce pojawiają się afisze – majestatyczna postać Zawiszy Czarnego w rycerskiej zbroi pasuje mieczem Sokoła unoszącego sztandar. Hasłem Złotu jest okrzyk wart: „Czuwaj!”.*

W znakomitym źródle do początków polskiego skautingu, książce *Człoto harcerskiej kolumny*, Ignacy Płazewski pisze o Lwowie: *Kilka tysięcy młodzieży akademickiej stanowiło mózg i serce młodego pokolenia. Tu zaczyna się skupiać cała młoda Polska, niespokojna, buntująca się przeciw niewoli, pełna ognia i rozżarzonej miłości Ojczyzny. Tu jest Lwów – gorące serce Polski. Garnie miłośnicie zlatującą się zewsząd pod jego skrzydła polską młodzież. Kresowy, zawsze Polsce wierny, odważny, bohaterski Lwów.*

Lwów uczył historii mogiłami Łyczakowskiego Cmentarza, gdzie spoczął Mickiewiczowski Ordon z nieugiętej reduty i Seweryn Goszczyński – poeta – belwederczyk z Powstania Listopadowego, którego wiersz *Sadźmy różę* stał się pieśnią Warszawskiej Chorągwi Harcerek w latach 1939–1945. Tu spoczęła autorka *Roty*, która stanie się pierwszym hymnem harcerstwa.

Opowiadała mi drużna Oleńka Małkowska, którą miałam jeszcze szczęście odwiedzać w jej skromnym domku na Małym Żywczzańskim w Zakopanem, o tym niezwykłym lwowskim wieczorze 26 lutego roku 1911, gdy na zebraniu „Sokoła” debatowano nad angielskim wynalazkiem – skautingiem.

I wtedy, jak opowiadała Oleńka, poderwał się *wspaniały okaz młodości i siły*, wołając – *Proszę o głos! Nazywam się Andrzej Małkowski! I to była ta pierwsza iskra, od której rozgorzeją harcerskie ogniska scalając tym płomieniem rozdartą Rzeczpospolitą.*

Idea harcerska rozpowszechniła się bardzo szybko. Drugim ogniskiem był Kraków?

Powiedziałabym, że korzenie harcerstwa polskiego sięgają właśnie naszej stolicy pod Wawelem. Bo to przecież tutaj już od roku 1905 działa tajne, abstynenckie stowarzyszenie „Młodzież” i Andrzej Małkowski był jednym z inicjatorów utworzenia tego związku. Powiedział: *W Krakowie – duchowej stolicy Polski – dokonano się moje drugie narodziny – naprawdę istne przyjdzie na świat.* Czym był Kraków dla przybyszów z zaboru rosyjskiego mówią przejmująco karty *Dzienników* młodego Stefana Żeromskiego, który u schyłku XIX stulecia napisał: *... i odrzuciłem wszelkie myśli inne, prócz rozkoszy oddychania tym miastem ducha, tego „centrum polszczyzny”. I biegłem na wawelską górę z bijącym sercem (...). Myśmy nie biedni, jak mówią nasi wrogowie, myśmy bogaci i niewzruszenie w niewoli naszej hardzi.*

To przecież w Krakowie dokładnie w rocznicę Powstania Styczniowego – 22 stycznia roku 1903 powstaje niezwykle środowisko „Eleusis”. Els – to skrót greckiego zdania, hasła: *Eleuthori laon sotheres – Wolni ludów wybawcami.* Jednym z czołowych działaczy krakowskiego koła „Eleusis” jest Stanisław Pigoń, który na sejmie „Eleusis”, nazwanym filareckim, powiedział: *Niepodległość Polski nie jest uprzywilejowanym, odświętowanym hasłem, jeno najcięższym obowiązkiem, wezwaniem do pracy. Jestem Polakiem to znaczy pracuję dla Polski, urabiam siebie na Polaka wolnego, niepodległego nałogom cielesnym, wyzwolonego od pychy, egoizmu, instynktu prywaty, uzbrojonego w czynną ofiarą miłość narodu.* Stanisław Pigoń stanie się drużynowym jednej z pierwszych drużyn harcerskich, jakie powstaną w Krakowie. i jednym z największych humanistów polskich, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Padnie ofiarą Niemców, a obóz – jak będzie twierdził – przeżyje dzięki hartowi wykształconemu przez „Eleusis” i harcerstwo. Bardzo bym chciała, żeby jakaś drużyna harcerska w Krakowie przyjęła kiedyś imię druha Stanisława Pigionia. Przypominam, że kiedy

Andrzej Małkowski ogłosił konkurs na odznakę harcerską, dwie pierwsze nagrody zdobyła Krakowska Drużyna imienia Bartosza Głowackiego, proponując: herb Kościuszki, który przecież ma w swoim kształcie lilie oraz orła dzierżącego w szponach tarczę z napisem „Czuwaj”. Przypominam także, iż po latach uroczystą mszę na Wawelu w intencji twórców harcerstwa polskiego odprawił jeden z uczniów i wychowanków druha profesora Pignonia – Karol Wojtyła.

Jakie u swych początków zadania stawiało przed sobą harcerstwo?

W znakomicie redagowanym piśmie „Skaut” Andrzej objaśniał cel i zadania organizacji: *Stajemy do szeregu z wiarą, że praca ta wyprowadzi pokolenie młodzieży polskiej dzielnej pod każdym względem, ofiarnej dla narodowej sprawy (...). Harcerzami chcemy ją zrobić nowoczesnymi; krzewicielami postępu o polskie tradycje opartego (...), którzy by do pracy rozumnej byli zdolni i nauczyli się ją szanować za młodu. A do pracy nam, Polakom, wzięć się potrzeba (...). Na kamieniu przywołującym grób matki leżą olbrzymie głazy niezgody naszej, zawiści, prywaty (...). Jaką wyrosnie młodzież polska (...) – taką będzie narodu przyszłość.*

Andrzej opublikował pierwszy tekst ślubowania skautowego, który zaczynał się słowy: *Ślubuję 1) wierność Ojczyźnie, 2) gotowość w każdej chwili niesienia pomocy innym, 3) posłuszeństwo prawu skautowemu.* W liście do drułów krakowskich z 2 listopada roku 1911 Małkowski pisze: *Abstynencja od alkoholu i tytoniu obowiązuje wszystkich skautów i instruktorów, palących wykreślać się będzie patrolów.*

Sędziwy autor *Katechizmu dziecka polskiego* – Władysław Bełza, ofiarowuje Andrzejowi harcerską wersję hymnu Rycerskiej Szkoły Kadetów:



Wilno, październik 2009 – spotkanie z harcerkami spod Ostrej Bramy

*Święta miłości kochanej Ojczyzny
Oto w Twą służbę wchodzi hufiec nasz!*

I ta piękna służba trwa sto lat.

Trzy lata po powstaniu pierwszej drużyny skautowskiej wybucha pierwsza wojna światowa. W roku 1919 ginie tragicznie druha Andrzej Małkowski. W roku 1918 Polska odzyskuje niepodległość. Jaką rolę odegrali w tej epoce polscy skauci?

Najpiękniejszą odpowiedzią na to pytanie są słowa Józefa Piłsudskiego, Naczelnika wolnego państwa polskiego, przesłane na Zjazd Harcerstwa do Lwowa w lipcu 1921 roku: *Harcerze! Już w latach niewoli przygotowywaliście się do służby Ojczyźnie (...). Gdy huragan wojny światowej deptać zaczynał niwy polskie i przyjąć miało do dziejowego porachunku za lata krzywd i niewoli, wyście w pierwszym stanęli szeregu tych, którzy odważyli się sięgnąć po zaszczytne miano żołnierzy niepodległości.* Udało mi się ustalić, iż Andrzej Małkowski był żołnierzem I Brygady Legionów Piłsudskiego (2 Pułk V batalion 3 kompania). Odbył z Piłsudskim całą kampanię Legionów na Podhalu. A wśród żołnierzy niepodległości było bardzo wielu harcerzy, którzy wpiszą się w nasze dzieje. Przywołajmy takie postaci bohaterów jak Leopold Lis Kula – harcerz, założyciel pierwszych drużyn w Rzeszowie, gdzie dziś ma swój przepiękny pomnik, jak Stanisław Rowecki – założyciel drużyny w Piotrkowie Trybunalskim, który przejdzie do naszej historii jako legendarny dowódca Armii Krajowej – generał Grot, jak Stanisław Sosabowski – w II wojnie dowódca Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Zaiste trudno byłoby znaleźć wśród bohaterów I i II wojny tych, którzy nie mają harcerskiego rodowodu.

Kresy były kolebką polskiego harcerstwa, z kresowego gniazda wyszły wielkie postaci, które niosły idee skautingu przez lata wolnej Rzeczypospolitej, dramatyczny epos II wojny światowej i okres ponurego rozdarcia społeczeństwa w czasach PRL-u. Taką postacią był bohater Pani książki i wystawy – druha Aleksander Kamiński.

To prawdziwa epoka w dziejach naszego harcerstwa. Zaczął swą piękną ofiarą i odważną służbą w Humaniu – na naszych kresach, na Ukrainie. Przedarłszy się do Polski, ścigany przez bolszewików – stwo-

rzył wspaniałe drużyny, Szkołę Instruktorów w Górkach Wielkich, a w czasie okupacji pełnił służbę na kilku placówkach wielkiej rangi, niebezpieczeństwa i odpowiedzialności. Był redaktorem naczelnym największego pisma podziemnej Europy – „Biuletynu Informacyjnego”, które stało się prawdziwym wychowawcą narodu. Był komendantem Organizacji Małego Sabotażu „Wawer” – tej wielkiej wygranej wojny warszawo-niemieckiej. Był współtwórcą Szarych Szeregów – konspiracyjnego harcerstwa polskiego, które wychowało tylu wspaniałych Polaków. Jego książka *Kamienie na szaniec* do dzisiaj uczy młodzież braterstwa i służby. W życiorys druha Aleksandra Kamińskiego wpisana jest także karta walki o harcerstwo polskie, zniszczone przecież w roku 1949. Odrodziło się samorzutnie po październiku roku 1956 (tu mają swe niezwykle zasługi druhowie krakowscy!). Kamyk zaangażował się tak, jak on to umiał – całym sercem i całym życiem – w pracę harcerską. Niestety niedługo pozwolono mu działać...

To „zasługa” Jacka Kuronia, twórcy „czerwonego harcerstwa”, który pochodzi ze Lwowa i do którego dawni mieszkańcy tego miasta przyznają się niechętnie...

I słusznie. „Czerwony harcmistrz” ma na swoim sumieniu niszczenie odrodzonego harcerstwa polskiego, wyrzucanie instruktorów, którzy doń powrócili pełni wiary i nadziei. Jednym z najpaskudniejszych czynów towarzysza Kuronia – szarej eminencji Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej do spraw młodzieży – było wykańczanie postaci tak szlachetnej i pięknej jak Józef Grzesiak – Czarny, harcerz krakowski, który w 1920 roku wyprowadził swoją drużynę w bitewne pole, a następnie w Wilnie stworzył jedną z najślawniejszych drużyn harcerskich – Czarną Trzynastkę Wileńską. Podczas wojny – komendant Chorągwi Szarych Szeregów w Wilnie i dowódca obwodu Śródmieście Armii Krajowej. Po wojnie więzień łagru w Workucie, gdzie przesiedział lat dziesięć! Gdy udało mu się powrócić do Polski w roku 1956, został natychmiast przez harcerzy wybrany komendantem Chorągwi Pomorskiej. Kuroń w swoich wspomnieniach zatytułowanych *Wina i kara* informuje, że wyrzucił Grzesiaka pod pozorem, iż nie wprowadza do harcerstwa zasad współpracy z partią... Oczywiście dzisiaj się o tym



nie mówi, szkoły przyjmują imię towarzysza Kuronia, a nawet na jego mogile w Alei Zasłużonych przez długi czas stał brzoźowy krzyż, szczęśliwie wreszcie usunięty.

Wilno. Przy mogile Matki i Sercu Syna harcerze pełnili wiernie wartę.

I pełnią ją także dzisiaj. Związek Harcerstwa Polskiego na Litwie działa w sposób godzien najwyższego szacunku i aprobaty. Ilekroć spotyka mnie szczęście pielgrzymki ku Ostrej Bramie – zawsze mam szansę na spotkanie ze wspaniałymi harcerkami i harcerzami Wilna. Cieszy mnie bardzo, że jedna z drużyn nosi właśnie imię Czarnej Trzynastki Wileńskiej. Z radością trzeba także powiedzieć, że i na Białorusi działają drużyny harcerzy polskich. Właśnie ostatnio odwiedził mnie ksiądz harcmistrz Jan Bońkowski, który ponad dwadzieścia lat pełnił służbę nad Niemnem i ofiarował mi swą bardzo cenną książkę *Harcerstwo polskie na Białorusi*. Jest tam także wspomnienie o pielgrzymce na Cmentarz Orłąt we Lwowie.

Miałam to szczęście, iż mój mąż scenograf pracował przy realizacji spektaklu *Nie ma jak Lwów* wystawionego w roku 1991 w Teatrze imienia Węgieryki w Lublinie. Usłyszeliśmy wówczas ze sceny najpiękniejsze pieśni i piosenki lwowskie, a także antologię niezwykłych wierszy poświęconych niezwykle miastu. Antologia ta została zaczerpnięta z tomu *Serce wydarte z polskiej piersi*, który dane mi było otrzymać w darze od znakomitej lwowianki Danuty Łomaczewskiej. Jest tam między innymi przepiękny wiersz Jana Kasprowicza *Kochany obrońco Lwowa...*

Lwów jest bohaterem kilku Pani książek, takich jak: *Czas naturcy. Ścieżkami Kasprowicza, Druhu Oleńko, Druhu Andrzej!*, *To „Zośki” wiara!* A jakie są Pani wrażenia z tego miasta?

Mogę tylko powtórzyć słowa lwowskiej piosenki: *Może uda się, że powrócę znów i zobaczę miasto Lwów...* Tylko że aktual-

Krzeszowice pod Krakowem – miejsce urodzin Olgi Matkowskiej. Uroczysty kominek we wrześniu 2009, przygotowany przez harcerskie małżeństwo Klauдії i Jana Węgrzynów

na jest jedynie druga część tego zdania. Bo nigdy nie udało mi się dotrzeć do Lwowa, mimo wielu zaproszeń, które nigdy nie zostały zrealizowane. Ale miasto z lwem w sercu jest w mojej pracy ciągle obecne. W Roku Twórców Harcerstwa Polskiego 2008 na wszystkich kominkach przypominaliśmy Lwów i Orłęta piosenką o Jurku Bitschanie *Tylko mi Ciebie mamo, tylko mi Polski żal...* W moim spektaklu *Wigilie polskie* granym na scenie Teatru Wielkiego w Poznaniu harcerze śpiewają piosenkę *Jest takie miasto, co zwie się Lwów, o którym wolno znów pamiętać...*, a harcmistrz Krzysztof Jakubiec, wspomniał twórcę akcji Arseniał Pamięci, mówi wiersz:

*Tam Lwów na nas czeka – Posłuchaj
Jak serce miarowo mu bije...
On milczy dla innych, a przecież
Ja słyszę wyraźnie, że żyje...
Gdy dziejów odwróci się karta
To Bóg da, choć droga daleka,
Wrócimy po latach wędrówek
Do domu. Tam Lwów na nas czeka.*

A ja czekam, że może jeszcze kiedyś zobaczą Lwów!

BARBARA WACHOWICZ, autorka wielu artykułów, książek, audycji radiowych i TV, m.in. poświęconych dziejom Harcerstwa Polskiego. Z najważniejszych: cykl artykułów *Harcerze Rzeczypospolitej*, ukazujący się na łamach tygodnika „Przekrój” od 1978 r.; cykl *Szare, Szare Szeregi*, drukowany w tygodniku „Stolica” (1980–89); cykl audycji monograficznych emitowanych w I Programie Polskiego Radia (*Cztery pory roku, Lato z radiem*), zawsze 1 sierpnia, w rocznicę Powstania oraz na Zaduszki; cykl programów w telewizyjnym *Skarbcu* Lucyny Smolińskiej, film *Rudy, Alek, Zośka*; słynna wystawa *Kamyk na szańcu*; opowieść o druhu Aleksandrze Kamińskim i jego bohaterach – harcerzach Szarych Szeregów; 5-tomowy cykl książkowy *Wierna Rzeka Harcerstwa*. Ukazały się: I. *Druhu Oleńko! Druhu Andrzej!*, poświęcony Małkowskim, twórcom harcerstwa polskiego; II. *Kamyk na szańcu* – o A. Kamińskim; III. *Rudy, Alek, Zośka* – o bohaterach *Kamieni na szaniec*; IV. *To „Zośki” wiara* – o bohaterach Powstania Warszawskiego, walczących w Batalionie „Zośka”. W przygotowaniu: V. *Gotowi do lotu* – o tych żołnierzach-harcerzach Batalionu „Zośka”, którzy przeżyli. Za zasługi dla harcerstwa Autorka została odznaczona Odznaką Honorową Batalionu „Zośka”, Złotym Krzyżem ZHP i Laską Skautową NIEZAWODNY PRZYJACIEL HARCERSTWA.

POEZJA

Ignacy Koziński

Wszystko, co nasze...

Wszystko, co nasze, Ojczyźnie oddamy!
W niej tylko życie... więc idziem, by żyć!
Świty się bielą... rozewrzem im bramy!
Rozkaz wydany: „Wstań! Ku słońcu idź!”

W wolności życie... tylko w niej krok dumny!
Nic, że daleka... przecie dojdziem doń...
I przyjdzie chwila – pierwszy szereg z trumny
W słońcu rozżłoci podniesioną skroń...

Po ziemi naszej roześlę harcerzy...
Pobudką zagrzmia: „Zbudź się, prawdzie służ!”
A wszystko wstanie, wkół się rozszermierzy,
By Matkę Polskę osłonić wśród burz...

Niech płoną serca! Niech płoną jak wici!
Od ócz płonących zginie nocy mrok...
Ujrzy Ojczyzna: w zwarte styki zbici
Idziem z rozkazem: „Czuwaj! Równaj krok!”

Matko! Idziemy! W tej nocy czuwamy!
Równamy błędy! Budzimy ze snów!...
Przeciw Twej śmierci z nas sypimy tamy!
Wytrwale czekaj, Matko! Wskrześnierz znów!

Z przeszłości smutek dłonie nasze pęta!
Słabość zatruwa hańbą milion dusz!
Ale ze zgrozą targamy te pęta...
Toż hasło życia brzmi: „Twe smutki krusz!”

Dotąd byliśmy żelazem... kajdany
Z niego kowane... my bądźmy jak stal!
W miecze przekujemy ten łańcuch, z łez lany...
W miecze, jak krzywda ostro, polski żal...

Naprzód!... Z piosenką o kochanej ziemi
Idziem, jak fala, zalać polski świat...
Policzyć wszystkich, co nie są nam niemi!
Odtrącić wszystkich, kto nie jest nam brat...

Bacność! Ojczyzna tego marszu słucha!
Równaj szeregi! Czuj! Prezentuj broń!
Król Duch nas widzi! Schył sztandar przed Duchą!
Naprzód! Wysoko podnieś! Nieś wysoko skroń!

Autor do koperty z wierszem adresowanej do redakcji „Skauta” we Lwowie dołączył krótki list: *Stary i schorzały, nie mogę własną osobą służyć pięknej idei „Skautu”. Zamiast więc służyć fizycznych ofiaruję Wam moją służbę duchową; w pieśni, którą załączam, a której życzę, by stała się hasłem i porządkiem dla młodej i dzielnej drużyny polskich Skautów.* Lwów, 10/2 1912. Władysław Bełza

Władysław Bełza

Pieśń młodych Skautów

„Święta miłości kochanej ojczyzny”,
Oto w Twą służbę wchodzi hufiec nasz!
Od lat najmłodszych do późnej siwizny –
Pragnie przy Tobie czujną trzymać straż!

Równajmy krok,
Wyteżmy wzrok,
Czy gdzie się podstęp nie kryje;
Uderzmy w ton,
Silny jak dzwon:
Polska niech żyje! Niech żyje!

My też nie ronim nad Twoją mogiłą,
Bo nie wierzymy, żeś złożona w grób!
W nas życie młode tętni całą siłą,
Żyć dla Ciebie chcemy, nie kończyć u stóp!

Równajmy krok,
Wyteżmy wzrok,
Czy gdzie się podstęp nie kryje;
Uderzmy w ton,
Silny jak dzwon:
Polska niech żyje! Niech żyje!

Pragniemy spać nadziej ognia,
Że nam zwycięstwo da nabyty hart;
Że i Ty z nami żyć będziesz szczęśliwa,
I każdy syn Twój będzie Ciebie wart!

Równajmy krok,
Wyteżmy wzrok,
Czy gdzie się podstęp nie kryje;
Uderzmy w ton,
Silny jak dzwon:
Polska niech żyje! Niech żyje!

Będziem iść karnie pomimo przeszkody,
Będziem z zapalem walczyć o Twój byt!
Aby w nagrodę, kiedyś, z piersi młodej,
Okrzyknąć Twego odrodzenia świt!

Równajmy krok,
Wyteżmy wzrok,
Czy gdzie się podstęp nie kryje;
Uderzmy w ton,
Silny jak dzwon:
Polska niech żyje! Niech żyje!



Kiedy na łamach pierwszego numeru harcerskiego pisma „Skaut”, wydanego we Lwowie 15 października 1911 r., jego twórca Andrzej Małkowski zamieścił wiersz swego przyjaciela Ignacego Kozielskiego, hymnem polskich harcerzy była *Rota Marii Konopnickiej* śpiewana do muzyki Feliksa Nowowiejskiego. Wiersz Kozielskiego wywarł wielkie wrażenie na środowiskach skautowskich i jeszcze w okresie II RP stał się, nieco zmodyfikowany, hymnem harcerzy polskich. Olga Małkowska opowiadała, że długo zastanawiała się, jak ten wiersz zaśpiewać. Olsnienie przyszło na ulicy Lwowa, kiedy maszerując równym krokiem ułożyła refren:

*Ramię pręż – słabość krusz – Ducha też –
Ojczyźnie miłej służ – Na jej zew – W bój czy trud –
Pójdzie rad – harcerzy polskich ród.*

Melodia zapożyczona została od pieśni polskich socjalistów pochodzącej z gorącego roku 1904 *Na barykady ludu robotczy*.

Zbigniew Szuperski

OPOWIASTKA

Maj.

Schodzi łagodnie.

Świt noc zęga i zaprasza słońce.

Ono wyrusza chętnie. Niedziela.

Ulica Teatyńska wstaje.

Wysoki, tęgawy Koszar Gwardii – Pułku Artylerii Ciężkiej – budzi się, prostuje w przód ramiona.

Nasze przyjazne mieszkanie „wojskowe”, przydzielone służbowo przez dowództwo Tatumiovi za jego dotkliwe ślady po ranach wojennych, jest na drugim piętrze, pod strychem pełnym różnych ciekawostek, może „średniowiecznych”. Tam sobie chadzam czasami pooglądać i posprzątać, a przede wszystkim popatrzeć chyłkiem przez okienka, z trzech stron – na Moje Miasto.

Święto.

Trąbka – o pół do ósmej (dziś nie o szóstej). Pobudka.

Słyszę już:

Kompanie, baczność! Modlitwa. Śniadanie. Przed dziewiątą pójda na mszę w kościele „wojskowym” Piotra i Pawła przy Franciszkańskiej, schodzącej lekko do Łyczakowskiej. Dziś pod dowództwem majora, Kapelana Wojsk Polskich, księdza Antoniego Kośby. Właśnie to on pewnego dnia mroźnego stycznia kiedyś przy naszym rodzinnym „zebraniu” mnie ochrzcił i poświęcił moje imiona.

*Wstaliśmy. Uchylam okno.**Jest już słonecznie.**Widoki – no właśnie:*

Po stronie lewej, za wzgórzem krzaczastym, moja „koleżanka” ulica Sobieszczyzna, ku Łysej Górze. Po prawej, ponad dachami kamienic z Kurkowej, rozległy widok jasny, Łyczakowskiej, prawie całej dzielnicy.

A naprzeciw z okna, jak zwykle, poranek wiadomy: zgrabny „szlachetny” płótek, a za nim wnet pan Hrabia Dzieduszycki wyjdzie sobie z pałacyku na rozległy park, ażeby wypieścić swoje wiotkie pieski.

Po śniadaniu.

Tatuś pokłusuje sobie troszkę – na ujeżdżalni – na swojej, a i mojej, milej, z kropkami na zadku, „Jasi”.

Pójdziemy na mszę o jedenastej u Dominikanów.

Szykujemy się.

Mamuśka, moje, nasze, чудо – ubrana: trencz ekstra, pantofelki zgrabniutkie, czapeczka „zagadkowa”.

Ja – w płaszczyku wygodnym. A „nasz” Starszy ogniomistrz pójdzie w mundurze „paradowym”: bluza z kołnierzykiem i płatkami stopnia wiadomego, na niej, zgrabnej, dwa ordery wojenne, sznury plecione, białe, spod prawego ramienia do sznurowego pasa z drobną „łapką” dla noszonej niekiedy w szczególnej służbie szabli. Spodnie z lampasami czerwonymi.

Idziemy. Wartownik salutuje honorowo Tatę. Tak właśnie zawsze każdy salutuje i mnie, gdy rano idę do szkoły. Jestem przecież – jak nazwał mnie pan Pułkownik – „dzieckiem pułku”.

Za bramą czekamy chwilkę na Dziadzia. A i idzie już mój „lordowy pan”, Sozański Jan. Schodzi z Wysokiego Zamku ze swojego „letniego” pokoju w kamienicy tuż przy parku.

Ruszamy. Nie zejdziemy Saitą w koło do Podwala, ale prosto naszą Teatyńską. Tak będzie bliżej schodkami jeszcze Hetmańską do Dominikanów. Kościół Dominikański jest właśnie nasz. Do niego chodzimy zawsze, razem. Ja, czasem w pewne państwowe święta, uczeń, wraz z moją klasą z bliskiej tuż Skarbkowskiej.

„Boże coś Polskę ...” – mój profesor, także organista – po mszy, wychodzimy. Są nasi: ciotunie: Janka z wujem kapitanem (Piąty Pułk Artylerii Lekkiej), stryjenka „Żółkiewianka” i Lola, „Jaworowa”, wujkowie Stemple, a oóż jak zawsze pan Zygmunt, nasz dozorca w szkole, bardzo kochany.

Żegnamy się serdecznie. Idziemy do Ruskiej, do tramwaju. Wsiadamy w „jedynekę”. Jesteśmy wnet w Parku Stryjskim. Jak zawsze spacer, prawie dookoła. Siadamy so-

bie na ławeczce przed Kilińskim (Dziadzio, fundator także pomnika, oraz Prezes tegoż Towarzystwa).

Wychodzimy. Fotograf – oczywiście.

Już w domu.

Po obiedzie odpoczniemy lekko. Popołudniem Tatuś zszedł do koszarowego „salonika” na bilard z herbatką. Obok jest wszak miła kantyna dla wszystkich w pułku. Tutaj bufecik z tym i owym ze „Spożywczego i różnego” sklepiku pana Jana, który sam dostarcza „towar” – jak zapewnia on zawsze – dla wojska niedrogo.

Mamusia z cicią Lolą – przyszła właśnie – pogwarzają sobie. Dziadzio już „do domu”. Odprowadzam go za bramę i patrzę, patrzę miło, jak drepta zgrabnie pod górę do swojej „lwowskiej” kamienicy.

Wracam.

Przejdę się dookoła, jak zawsze.

Za pierwszą stajnią – tu pogłaskałem ciepłą mordkę naszej „Jasi” – dziedzińcem, zawsze ponurym pod zachodnią, ciemną ścianą koszarową, wychodzę, naokoło, na pagórek ujeżdżalni z przeszkodami. Stąd, nieco na dół, przez szerokie – przed głównym frontem koszar – „musztrowe” podwórze (na lewo, za płotkiem, park „hrabiowy” – wiadomy), schodkami do „parku”, tak, parczku naszego.

Tutaj już właśnie w maju – pod swym przyjaznym płotem liściastym, schodzącym przy „tramwajowo” żmudnej ulicy „Drobnej”, prawie do Kurkowej – zgrabnie wszystko, zdrowiutki, podrasta już w listki i zakwita wokół przy ścieżkach z wygodnymi ławeczkami.

W jednym zakątku, na takim sobie placu, koric tenisowy. Grywają tutaj przeważnie młodszy oficerowie nasi, modnymi rakietami. Mam i ja taką, bardzo modną „męską” raketę, darowaną mnie przez Dziadzia. Panowie oficerowie czasem grywają sobie nieco ze mną. Sympatyczni.

Chłodek nadchodzi. Zmykam już do domu.

Trąbka! O ósmej. Wnet moi przyjaciele, na baczność, głośno:

*Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm miłośnie, Boże Prawy,
A gdy będziemy zasypiali,
Niech Cię także sen nasz chwali!*

Ja – w „moim” pokoiku. Słucham, jak prawie każdego dnia, cicho, czasem w słuchawkach, z płyt na patefonie. Mam już, mam trochę muzyki koncertowej. Godzina... Gaszę lampkę...

Raniutko! Pół do ósmej. Słońce zza „parku” – do nas.

Modlitewka, śniadanko, tornister na ramiona, ze wszystkim w nim, co dzisiaj do mojej klasy – szóstoklasista. Całusy i „woreczek”, od Mamuńki.

Za bramą czekam chwilkę na moją kochaną nauczycielkę, panią Janinę Ruczaj (jej parterowy domek tuż naprzeciw nas).

I razem, zgrabnie, z naszej „Teatynki” troszkę w dół – schodkami, do Skarbkowskiej, do naszej Szkoły...

ZBIGNIEW SZUPERSKI, ur. 1923 we Lwowie. Nauka do wybuchu II wojny w VI Gimnazjum im. S. Staszica. W 1939 wyjechał wraz z ojcem, oficerem lwowskiego pułku artylerii WP, ewakuowanym do Rumunii. Tam w polskim liceum dla uchodźców ukończył gimnazjum i zdał maturę. Studia prawnicze, po 3 latach w Bukareszcie, ukończył w Krakowie. Pracował aż do emerytury jako radca prawny.



Koszary artylerii w tzw. „Czerwonym Kłasztorze” w rejonie ulic Teatynskiej i Unii Lubelskiej. Litografia Karola Auera, XIX w.

Zygmunt Wiśniewski

Dawno temu we Lwowie

W CL 4/09 zamieściliśmy informację o sesji historycznej pt. „Szkoła lwowska i jej wpływ na rozwój medycyny polskiej”, jaka odbyła się w Częstochowie 20 września ub. roku. Poniżej przedstawiamy – za zgodą Autora – tekst napisany z tej okazji przez dra Zygmunta Wiśniewskiego i ogłoszony w „Gazecie Lekarskiej” nr 11/2009 (227).

Lwów w kulturze polskiej XIX w. i okresu II Rzeczypospolitej znaczył tak wiele, że nie sposób jego roli przecenić. Równie wiele znaczył w polskiej medycynie. Dlatego pojęcie lwowskiej szkoły lekarskiej jest powszechnie uznawane.

O lwowskiej szkole lekarskiej i jej wpływie na rozwój medycyny polskiej 20 września 2009 mówili lekarze w Częstochowie na sympozjum zorganizowanym przez Towarzystwo Lekarskie Częstochowskie i Okręgową Izbę Lekarską w Częstochowie.

Prawo powoływania na uniwersytetach wydziałów lekarskich było bardzo znaczącym przywilejem. Kiedy w 1616 r. król Jan Kazimierz podniósł dawne kolegium jezuickie we Lwowie do rangi Akademii, wpisał do przywileju fundacyjnego także nauczanie w niej medycyny. Woli królewskiej nie uszanował jednak sejm, który nauki medyczne wykreślił. Nie pomogły odwołania. Jedno z nich, adresowane do króla Augusta II Mocnego w roku 1706, zostało oddalone z argumentacją, że *tylko jednej Akademii Krakowskiej przysługuje prawo mieć cztery fakultety*. Te cztery fakultety to: teologia, prawo, filozofia i właśnie medycyna. Nauczanie medycyny przypisane było od wieków Akademii Krakowskiej.

Z czasem między wydziałami lekarskimi uniwersytetów we Lwowie i Krakowie rozwinie się bardzo inspirująca dla rozwoju polskiej medycyny rywalizacja, z której zwycięsko wyjdzie Lwów.

W 1772 r., po pierwszym rozbiórce Polski, Lwów wraz z Galicją trafił pod panowanie austriackie. Cesarzowa Maria Teresa pozwoliła w 1773 r. na otwarcie kolegium medycznego, w którym kształcono chirurgów, cyrulików i akuszerki. Na prawdziwy wydział lekarski czekał Lwów do roku 1784, wraz z powtórным powołaniem Uniwersytetu, tym razem Józefińskiego (od imienia Józefa II, syna Marii Teresy). Lwów nie miał jednak szczęścia do nauk medycznych, a dokładniej – do pilnych studentów. Po czterech latach wyższa medycyna została zniesiona „z powodu słabej frekwencji uczniów”. Historyk medycyny odnotował, że w 1788 r. było ich na wszystkich latach studiów zaledwie siedmiu. Brakowało także profesorów, a ci, którzy we Lwowie zamieszkiwali, oddawali się bardziej kłótniom i wzajemnym animozjom niż nauczaniu studentów. Ograniczony do nauczania chirurgii i położnictwa wydział przetrwał do 1805 r., w którym Lwowski Uniwersytet Józefiński zlikwidowano. Na 100 lat we Lwowie pozostało tylko studium chirurgiczne.

Działo się tak, ponieważ zapotrzebowanie na wiedzę i ordynację lekarską było niewielkie. Historyk medycyny wypowiedział się na ten temat w 1906 r. w „Nowinach Lekarskich”: *u ludzi dotąd jeszcze utrzymuje się nieufność do lekarzy, do których nasz chłop udaje się dopiero w ostateczności; przez szereg lat dziesiątek lud miał sposobność przekonać się, że tacy lekarze, jakich miał, na niewiele się przydawali, nauczył się i przyzwyczaił obchodzić bez lekarza. Trzeba pracy znowu szeregu pokoleń nad oświatą ludu i sumiennej pracy z całym oddaniem się chorym ze strony lekarzy, aby lud nauczył się korzystać z ich pomocy i ufać ich radom i szanować ich.*

Między rokiem 1806, kiedy kształcenie lekarzy we Lwowie zlikwidowano, a rokiem 1905, kiedy „Nowiny Lekarskie” wydrukowały przytoczoną opinię, minęło nie tylko 100 lat, ale także zmienił się stosunek inteligencji, a wśród niej lekarzy do problemu leczenia prostych ludzi, a zwłaszcza robotników przemysłowych. Powstawały i działały towarzystwa stawiające sobie za cel nauczanie higieny, rozwój wiedzy o zdrowiu i zbliżenie z medycyną. W Austrii, na wzór Niemiec, powstawały liczne kasy chorych, które sprawiły, że zapotrzebowanie na lekarzy gwałtownie wzrosło.

Przed rokiem 1893, kiedy powtórnie otwarto Wydział Lekarski na Uniwersytecie Lwowskim, zmieniła się radykalnie sytuacja gospodarcza i administracyjna Lwowa. Historyk A. Bednarski zapisał: *Lwów, stolica kraju, siedziba najwyższych władz, sejmu galicyjskiego, miasto pierwsze w kraju pod względem ilości mieszkańców i ruchu handlowego, rozwijające się, pełne życia, bogate – nęciło ku sobie. Toteż nic dziwnego, że skoro miał powstać wydział lekarski, na katedry chętnie spieszyli uczeni, całe ich szeregi chętnie opuszczały prastarą Wszechnicę Jagiellońską i starożytny Kraków. Spieszyli uczeni polscy z zagranicy, aby uzupełnić siły miejscowe.*

Mieszczanstwo oczekiwało pomocy lekarzy w utrzymaniu zdrowia. Lekarze, ożywieni ambicją społeczną i naukową, utworzyli Lwowskie Towarzystwo Lekarskie.

Zmienili się też ludzie. Inna była młodzież. *Skoro otworzyły się bramy instytutów i klinik, młodzież poczęła się garnąć do nowej uczelni, widzimy zaraz profesorów otoczonych asystentami, praca wre po laboratoriach, sale wykładowe pełne.* I tak było aż do wybuchu wojny światowej w 1914 r. W roku 1920, kiedy Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie świętował 25-lecie utworzenia Wydziału Lekarskiego (1894–1919), profesorowie patrzyli z troską na to, co będzie dalej.

A dalej? Lwów, Wydział Lekarski UJK i lwowski świat lekarski miał przed sobą najwspanialsze lata – w okresie istnienia II Rzeczypospolitej.



O nauczaniu medycyny na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Lwowskiego i o lwowskich medykach mówiła z pasją dr Helena Tarnawiecka ze Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie.

Tadeusz Krzyżewski

W humorze retro

Jedną z najcenniejszych cech naszego narodowego charakteru jest poczucie humoru i zdolność do śmiechu, nawet w krytycznych momentach historii czy osobistego niepowodzenia. Zauważył to jeden z prezydentów Francji – wśród jego wypowiedzi podczas wizyty w Polsce w czerwcu 1975 r. znalazła się przede wszystkim pochwała weselości i podkreślenie tych wspólnych cech, które nas łączą z Francuzami: żarliwe przywiązanie do tradycji narodowej, skłonność do żartowania, ta sama wspaniałomyślność ducha, zdolność do entuzjazmu i krytyki oraz niefrasobliwość, która nas nie opuszcza nawet w najcięższych chwilach.

Fenomenem historycznym jest przecież fakt, że po każdym nieudanym zrywie politycznym, po powstaniach narodowych, pojawiają się znakomici humoryści i komediopisarze, którzy śmiechem leczą rany narodowe. Po powstaniu listopadowym twórczość komediopisarska Fredry osiąga szczyty humoru i dowcipu; wkrótce po powstaniu styczniowym pojawiają się satyrycy i fraszkopisarze tej miary co Jan Lam, Chochlik-Zagórski i M. Rodoć-Biernacki. Ich następcy i kontynuatorzy akcji śmiechotwórczej działają wszyscy w myśl starej zasady, że gdy nie ma z czego się śmiać, wtedy właśnie pojawiają się satyrycy i humoryści! Są wśród nich epicy humoru, tacy jak Prus i Sienkiewicz, są zawodowi wyrobownicy pióra, których zadaniem jest rozpędzać troski dnia powszedniego żartem, humoreską lub fraszką na łamach popularnego czasopisma.

Jeżeli więc sięgamy w literaturze, sztuce, filmie i w teatrze do motywów z przeszłości bliższej i dalszej, szczególnie zabawne i pouczające powinno być retrospektywne spojrzenie w karty roczników pism *tkniętych humorem*, aby porównać, jakie ewolucje przeszedł żart i dowcip, zanim doszedł do form współczesnych.

Nieliczne nasze czasopisma humorystyczne, przede wszystkim „Szpilki”, chętnie wracały do dawnych motywów komicznych, prezentując na swoich łamach mocno już zwietrzały dowcip i rysunek komiczny dawnej Warszawy z epoki Królestwa Kongresowego. Rzadko natomiast jest eksponowany humor tej dzielnicy kraju, która wydała właśnie Fredrę, Lama i Rodocia. Mówimy o Galicji, która pod zaborami cieszyła się stosunkowo największą swobodą w dziedzinie twórczości satyrycznej, tu więc także kontynuowano w słowie i piśmie żart staropolski, którego dominującą właściwością była dobrodusznia drwina przy zachowaniu jak najszerszej tolerancji i wolności przekonań.

Odzwierciedla go najlepiej bogata ilościowo prasa galicyjska o najrozmaitszych odcieniach. Występuje tu w sposób klasyczny znane w naszym życiu społecznym zjawisko, że gdy spotyka się w warunkach konspiracji lub na obczyźnie trzech Polaków, zaraz zakładają redakcję oddzielnego pisma, przy czym na terenie Galicji miało ono najczęściej posmak humorystyczno-satyryczny. W śmiechu bowiem szukali obywatele galicyjscy z konieczności uniwersalnego lekarstwa na bezwład gospodarczy, niemożność rozwinięcia szerszej inicjatywy, nędzę ekonomiczną i wszelkie kompleksy powojskowe. Działali zgodnie z diagnozą, jaką postawił ówczesnemu życiu tej dzielnicy Jan Lam, twórca polskiej powieści satyrycznej, autor osławionych w swoim czasie powieści pt. *Wielki świat Capowic, Głowy do pozłoty* oraz ironicznych, świetnych kronik niedzielnych, ukazujących się w prasie lwowskiej w latach 1869–1886. Wobec skrępowania inicjatywy obywatelskiej w każdej dziedzinie pisze on w powieści *Dziwne kariery*, wydanej w r. 1885: *...Mieszkańcy stolicy Galicji najpierw prosili, próbowali sami gospodarzyć, gniewali się i wszystko to nic nie pomogło. Została im w końcu zwykła broń bezsilnych – szyderstwo. Z rozpaczki pozakładali pisma humorystyczne i śmieją się z biedy, na którą nie ma rady, jak chyba pożar i radykalna zaraza morowa...*

Rzucili się więc dzielni rodacy do wydawania pism humorystycznych i robili to z takim zapałem, że w latach 1834–1939 ukazało się w sumie na obszarze Galicji oraz późniejszej Małopolski 70 i kilka różnych

tego rodzaju czasopism, z czego w stolicy równo pięćdziesiąt, reszta zaś w Krakowie i pomniejszych miastach galicyjskich. Były lata, jak np. rok 1895, gdy w samym tylko Lwowie wychodziło równocześnie pięć czasopism, które K. Estreicher ochrzcił mianem „naśmiewczych” („Szczutek”, „Śmigus”, „Zagłoba”, „Humorysta”, „Wesoły Kurierek”). Absolutny rekord w skali światowej, jeśli zważymy, że miasto miało wówczas zaledwie 150 000 mieszkańców i było stolicą prowincji austriackiej liczącej 6 milionów mieszkańców!

Obecnie posiadamy w kraju dwa czasopisma humorystyczne, wydawane w ogromnych nakładach, zaś akcja naśmiewcza społeczeństwa zorganizowana jest na zasadzie decentralizacji. Obok czasopism specjalnych oraz teatru – żart i karykatura przeniknęły w szerokiej mierze na łamy dzienników, zajęły sporo miejsca i czasu w programach kina, radia oraz telewizji. Tym bardziej podziwiać należy wyjątkową, iście gargantuiczną chęć do żartów i kpin, która wyraziła się w tak masowej akcji wydawniczej.

Na miejsce każdego pisma humorystycznego, które padało na pobojuwalisku śmiechu w uporczywej walce z konfiskatą, cenzurą, brakiem inwencji lub chroniczną golizną finansową, powstawało natychmiast inne, pełne nowej pasji satyrycznej, skupiające wokół siebie własne grono miłośników i protektorów humorystyki.

W ten sposób ciągnie się nieprzerwany poprzez całe stulecie łańcuch dowcipów, frazdek, kalamburów i karykatur o zupełnie swoistej tradycji i zabarwieniu. Zapoczątkował go w 1834 roku krotochwilny kwartalnik „Śmieszek”, wydawany przez Juliana Kamińskiego, skryptora Zakładu im. Ossolińskich. W artykule zamieszczonym na łamach „Przekroju” nazwał go Eryk Lipiński pierwszym polskim periodykiem humorystycznym.

Po dłuższej przerwie, spowodowanej wypadkami politycznymi, rozpoczyna się po roku 1862 długi szereg pism humorystycznych specjalizujących się w humorystyce szlacheckiej, mieszczańskiej, ludowej, a nawet robotniczej. Wylatują w świat różne „Bąki”, „Komety”, „Krzykacze”, „Kuźnie”, potem „Chochliki” i „Makabundy”; szczutki w nos rozdaje przez 27 lat tygodnik „Szczutek”, „Różowe Domino”, a następnie statecz-

ny „Śmigus”, wychodzący lat z górą 30, aż do czasów I wojny światowej. Oddzielną klientelę czytelniczą próbują zjednać sobie szlachecki „Zagłoba”, robotnicze „Cięgi”, mieszczański „Humorysta” oraz „Biesiada humorystyczna”. W okresie międzywojennym ukazuje się „Pociąg”, „Kabaret”, „Świrk”; odnowiony „Szczutek” nr 2, jednoczący najlepsze pióra z Kasproviczem i Wasylewskim na czele, „Komik Polski” i kilka innych. Sekundował im w Krakowie mieszczański „Diabeł” przez pełnych lat 50, „Harap”, „Liberum veto”, „Bocian” i „Wróble na dachu”.

Dorównajmy, poczynając od kart najstarszych roczników, jak wyzwał się w historii polski żart i pasja wyśmiewcza. Już w pierwszych zeszytach „Śmieszka” odkrywamy niespodzianie dziś epigramaty, przepowiednie i tak modne obecnie dociekania futurologiczne.

A więc:

Niesprawiedliwie oskarżają ludy, iż na rząd powstają, one przeciwnie – powstają na nierząd!

Chińczykom kazano szczepić rewolucję, ażeby ich od naturalnej uchronić.

Tylko pochodniom można mieć zapalone głowy!

Wszystkie zawierane pokoje to są tylko ferie wojenne.

Gorset jest antykonstytucyjny, bo ściska wolność osobistą.

I taki kalambur:

Astronomowie przepowiadają, że tam, gdzie teraz wschód, będzie zachód, ale trzeba wielkiego zachodu koło tego wschodu.

Stary, choć nie leży w trumnie, a już mówią, że jest przycieniony wiekiem.

Dobrze, że sprawiedliwość ma zawiązane oczy, boby się zmartwiła widząc, co z nią świat wyrabia.

Najlepszy rząd:

Po czym poznać rząd dobry, jakby ci się zdało?

Po tym co dobrą żonę – mówią o niej mało!

Życie musi być także jakimś występkiem, skoro śmiercią karane bywa.

Jest i prognozowanie, niemal naukowe, na 100 lat naprzód. Łatwo można sprawdzić, czy to przewidywanie przyszłości na stopniu przednaukowym sprawdziło się w r. 1934:

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

SCHODNICA

Gmina, niegdyś śródgórska wioska, późniejsza osada przemysłowa w pd. części powiatu drohobyckiego. Położona w głębokiej kotlinie nad górskim potokiem o tej samej nazwie, lewym dopływem rzeki Stryj. Nazwa wsi wiąże się jakoby z jej dogodnym położeniem w rejonie, gdzie schodziły się ścieżki i drogi z otaczających grzbietów górskich.

Mężem opatrnościowym tej miejscowości o metryce średniowiecznej, lecz zacofanej niemal do końca XIX stulecia, był Stanisław Szczepanowski, który odkrył w niej ropodajne tereny. W ostatnim dziesięcioleciu tego wieku powstały tam kopalnie ropy naftowej, pociągając za sobą utworzenie kilkutysięcznej osady i osiągnięcie – przez napływowych z zasady mieszkańców – zauważalnego postępu cywilizacyjnego. W latach 1890. dzierżyła Schodnica prym w wydobywaniu ropy na ziemiach polskich. Dopiero odkrycia bogatych złóż tego surowca na początku XX wieku w Borysławiu, Mrażnicy i Tuśtanowicach zmieniły tę kolejność.

W latach 30. okresu międzywojennego Schodnica liczyła 3800 mieszkańców, jej obszar wynosił 22 km². Centrum osady przemysłowej było oddalone od wsi Schodnica o 1,5 km. Ponadto zbudowano tu kilka osiedli, związanych z kopalniami oraz tartakiem.

Historyczne osiedla Schodnicy

TARTAK. Obok tartaku zbudowano między Górą Kościelną a potokiem Schodnica duże osiedle mieszkaniowe o nazwie Tartak. Stanowiło ono centrum międzywojennej Schodnicy. Składały się nań domy jedno- i wielorodzinne (zwane kasarniami), konsum PSS, stadion z boiskiem piłki nożnej z zadaszoną trybuną, bieżnią i urządzeniami do lekkoatletyki i gier zespołowych oraz odkrytym basenem pływackim, przychodnia Kasy Chorych oraz warsztaty mechaniczne. Główną arterią osiedla stanowiła ulica Tartaczna.

Starzy nie będą zrzędzić i zaniechają brudnego sknerstwa. Niewiasty będą mniej ciekawymi. Młodzież stanie się skromniejszą; będzie mówić mało i do rzeczy. Nowożeńcy będą oszczędniejsi w ślubnych wydatkach. Małżonkowie płci obojczy dla drugich względniejsi będą. Panny mniej się będą za modą uganiać, a więcej do swego wieku stosować będą. Kумы nie będą obgadywały swych sąsiadów. Kokietki, lubiące się podobać wszystkim mężczyznom, pomieszczą w rządzie ostatnich także i swoich mężów. Uczni nic nie powiedzą próżnego. Adwokaci przestaną wikłać prawdę. Sędziowie spać będą tylko w nocy. Kupcy i aptekarze kontentować się będą umiarkowanym zyskiem.

Wino mieszane będzie z wodą tylko u stołu. Bogacze ludzkimi się staną. Biedacy pracować ochoty nabiorą. Ludzie jednej profesji nawzajem lubić się będą! Prawdziwie taki rok złotym nazwać można, szkoda, że do niego tak daleko jeszcze.

Dodajmy, iż pomimo upływu niemal 150 lat jesteśmy równie dalecy od realizacji tych prognoz.

Szczególnym wzięciem cieszył się później „Szczutek I”, na którego łamach wypowiadali się najlepsi ówczesni satyrycy i rysownicy. Tworzyli oni typy komiczne, zaludniające przez długie lata świat galicyjskiej „tromtadracji”. To ostatnie pojęcie stworzył Lam, używając go jako synonimu efekciarstwa i krzykliwego wygłaszania mów patriotycznych. Przeszło ono do literatury i na deski sceniczne, błyszcząc niemal w każdym popularnym refrenie komediowym:

*Śpiewam sobie tromtadrata,
Bom ja tęga demokrata...*

Lam miał wyjątkowy talent do kreowania znaczących nazwisk i przydomków. Stworzone przez niego popularne określenie „Gogo”, „goguś”, przyjęło się również na długie lata i oznaczało, podobnie jak dziś „Bęcwałski” – młodziana o pustej głowie, wstecznych poglądach i niesmacznej elegancji.

Protoplastą gogów, występujących przez lata całe na łamach „Szczutka”, był młody August Dzieduszycki, który zasłynął z olbrzymich kołnierzy, fantastycznych krawatów i kapeluszy niebywałej wysokości. W „Szczutku” towarzyszył gogowi cały orszak Preclitschków, „hrabiów Kalasantych”,

„Orderowiczów”, „Strachajłów” i innych wytypowanych postaci ze świata mieszczańskiego Galicji.

Strasznymi to byli mieszczanie, wśród których największym postrachem była teściowa, ta z popularnego rysunku w kalendarzu „Haliczanie”, albo jako Dulaska afiszująca się moralnością z komedii Zapolskiej, pod tymże właśnie tytułem.

Ideą komiczną tego mieszczaństwa, prowadzącego uregulowany tryb życia, były małe zdrady małżeńskie i wielka bomba piwa w sklepie śniadankowym Szkowrona czy Naftuły. Nie znaczy to, że muzyka, śpiew, sztuka teatralna i literatura znajdowały się na marginesie zainteresowań tego społeczeństwa! Towarzyszyły bowiem każdej rozmowie towarzyskiej; przy fortepianie, z ręką na klawiaturze, wdzięczył się często młody mieszczuch do swojej bogdanki, a gdy Kiepura chciał zdobyć pierwsze laury publiczne, wybrał na swój debiut scenę opery lwowskiej. Nie bacząc na to, że filmowymi westernami będą się pasjonowali widzowie dopiero w latach pięćdziesiątych naszego stulecia, sięgały czasopisma tego rodzaju co „Biesiada Humorystyczna” do motywów z dzikiego Zachodu już w roku 1909, a odrodzony w 1918 r. tygodnik „Szczutek II” przedrzeźniał kliwie malarstwo Kossaka, specjalizującego się w tematach ułańskich, parodiując w kapitalny sposób ograny motyw „ułań i dziewczyna”.

Za wzorem dawnego „Śmieszka” redaktorzy „Szczutka” czuli się równie dobrymi futurologami, uprawnionymi do przewidywania przyszłości. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że już w 7 numerze roku 1918 odważyli się na sarkastyczne przewidywania terminu rozwiązania europejskich konfliktów wojennych dopiero przed r. 1978, to schylić musimy czoło przed ich intuicją. Przepowiednia ta nabiera satyrycznych aspektów właśnie dziś, gdy inflacja gnębi cały cywilizowany świat:

Nauka historii dla naszych prawników
(wyjątek z podręcznika wydanego w r. 1878!)

*Kiedy para trzewików kosztowała parę milionów, a technika artyleryjska doszła do takiej doskonałości, że nabój działa daleko-
nośnego mógł oblecieć w przeciągu 2 minut
ziemię i zabić kanoniera, który go wystrzelił,
zawarto w Europie trwały pokój światowy,*

z trzyletnią gwarancją. Każde z państw inaczej zapatrywało się na ów „pokój”. O Rosji mówiono, że ma pokój obity na czerwono. Austria dostała pokój ze wspólnym wejściem. Niemcy otrzymali pokój z widokiem na morze, Anglii przypadł pokój z łaźnią. Najgorszy los przypadł Polsce. Musiała zadowoląć się pokojem z pruską ścianką. Jak wiadomo, ścianki tego rodzaju nie dają gwarancji trwałości ...

W „Szczutku”, który niemal monopolicznie rządził polskim humorem i satyrą w latach 1918–1929, szczególnie ostre pióra posiadali karykaturzyści Kamil Mackiewicz, Kazimierz Sichulski, Zdzisław Czermański i Kazimierz Grus. Ten ostatni projektował szatę graficzną „Szczutka” do ostatniej chwili, karykaturami zjednywał czytelników i bronił go przed zakusami cenzury aż do marca 1929. Ale długie lata potem jeszcze zasiliał Grus czasopisma satyryczne polskie i obce swymi rozkosznymi rysunkami dziecięcymi jako „mały Kazio”, a nawet w r. 1945 na wiosnę, gdy jako „Franio” przepowiedział Hitlerowi na szpaltach „Przekroju”, że na niego niebawem przyjdzie kolej!

Należy na zakończenie wspomnieć o ostatnim większym humorystycznym przedsięwzięciu wydawniczym, jakim był dla tej dzielnicy tygodnik „Komik Polski”, pod kierownictwem red. Doll-Olpńskiego w latach 1932–1935.

Ostatni spadkobierca galicyjskich tradycji humorystycznych tej ziemi, której satyrycy według recepty J. Słowackiego najpierw próbowali w swej twórczości naśmiewczej „gryźć serce”, a gdy już serca nie starczyło dla takiej psiej roboty, umieścili w nagłówku własnego czasopisma cwaniackie hasło *Wesoło choć goło, głupio, ale zdrowo!* Było to w swoim czasie najtańsze pismo humorystyczne w Polsce, zeszyt kosztował bowiem 10 groszy, tj. tyle co przeciętny dziennik! Redakcja „Komika”, jak również zespół powstałej w owych latach „Wesołej Fali” radiowej z Szczepkiem i Tońkiem na czele, próbowali w swej działalności komicznej oddać sens życia tej kategorii współobywateli, którzy poprzez dobroduszny żart realizowali zasadę życzliwości dla bliźnich, dla swego miasta i całego świata.

wrzesień 1975

PASIECZKI. Przed odkryciem złóż ropy naftowej na terenie tym do połowy XIX w. znajdowały się łąki, a na nich prowadzono pasieki – stąd nazwa tego obszaru, który leży przy wjeździe do Schodnicy od Borysławia. Tu droga rozwidla się: w prawo prowadzi do Kropiwnika, Majdanu, a dalej do Turki, w lewo – do centrum handlowego nazwanego Pasieczki. Wzdłuż prawie kilometrowej długości ulicy o tej samej nazwie, zwarto zabudowanej po obu stronach, było zlokalizowanych ponad 50 (co stanowiło połowę wszystkich w Schodnicy) sklepów wielu branż, warsztatów rzemieślniczych i restauracji, apteka, poczta i telegraf, hotel, posterunek policji, synagoga, Dom Robotniczy z dużą salą widowiskową itd.

BUDOWA. Leży we wsch. części Schodnicy, gdzie w okresie wielkiego ruchu budowlanego lat 30. wzniesiono nowe obiekty: Dom Strzelecki z dużą salą widowiskową, 7-klasową szkołą powszechną, kilka wielorodzinnych domów mieszkalnych. Stąd do osiedla tego przyłgnęła nazwa Budowa.

ZHARY. Osiedle to było oddzielone od os. Tartak Górą Kościelną, na której szczycie zbudowano w 1896 r. kościół pw. bł. Kingi, wg projektu krakowskiego architekta Sławomira Odrzywolskiego. Osiedle Zhary przyjęło swą nazwę od sąsiadującej z nim sekcji kopalnianej *Zhar*. Pochodzenie tej nazwy jest trudne do rozszyfrowania – została zapewne nadana przez właściciela kopalni lub innego nafciarza, a jej brzmienie wskazuje na arabizm lub hebraizm. Osiedla Zhary składało się z kilkunastu domów wielorodzinnych, neoklasycystycznego budynku administracji Sp. Akc. „Gazy Zieme”, dwóch willi dyrektorskich, kortów tenisowych, a także gazoliniani i elektrowni.

Poza wymienionymi znajdowały się na terenie Schodnicy dalsze osiedla, których nazwy pochodziły od innych jeszcze sekcji kopalnianych: Pereprostyna, Horb, Zrąb, Harem, Muchowate, Pohary. Sekcje podzielone były na pola naftowe, na których w latach międzywojennych 15 firm wydobywało ropę naftową.

Tekst przygotował Jan Rybotycki

Źródła:

1. Wikipedia: *Gmina Schodnica w latach 1920–39* – dot. danych geogr. i demogr.

Adam Krajewski

Lwowskie przedmieścia

Obrazki i szkice sprzed półtora wieku (2)

GÓRNY ŁYCZAKÓW PRZED PÓŁTORA* WIEKIEM

Zrazu nieśmiało, a następnie głośniejsz i śmielej, rozlega się z wyżyny łyczakowskiej gwizd lokomotywy, oznajmiając przedmieszczanom, że dawne czasy niepowrotnie przeminęły. Koło postępu musnęło osadę łyczakowską, mając swój typ i wzór, na którym kształtowali się ludzie innych przedmieść, okalających wieńcem stary gród. Górny Łyczaków zachował jeszcze do dziś pewne cechy odrębne, choć inny jest od tego, który ginie z powierzchni i któremu te wspomnienia poświęcam.

Łyczaków górny był od cerkwi św. Piotra i Pawła** aż po rogatkę jakby na poły wsią, wśród której dominowały dwa zajazdy, jako że przy głównym były trakcie Gliniańskim: gospoda Otawichy i Hotel de Laus, mający charakter zupełnie inny od dzisiejszej szynkowni ogródkowej. Domki parterowe z obszernymi podwórzami i ogrodami, prócz paru rzemieślników, zamieszkiwali niemal wyłącznie krupiarze, a liczono ich do czterdziestu rodzin i to ze sobą spokrewnionych, spowinowaconych lub co najmniej pokumanych. O zapobiegliwości i pracowitości tych krupiarzy nie ma dzisiejsze pokolenie pojęcia. Praca w tych domkach trwała dniem i nocą bez przerwy, a poczciwcy byli zdania, że dość się jeszcze wyśpią w wieczności na „łyczakowskich piaskach” pod Mazurówką (jak nazywano cmentarz Łyczakowski).

Porządek dzienny górnego łyczakowianina bywał szary i jednostajny. W dniu powszednie zaraz po północy wybierali się krupiarze za rogatkę dla zakupu hreczki, którą z Winnik, Czyżek, Mikłaszowa, Dawidowa, Prus, Jaryczowa i z dalsza dowozili włościanie. Rodzaj giełdy hreczanej mieścił się przy karczmach Weissmana i Berysza Jukła. Po ukończeniu transakcji zapijano na miejscu „interes”. Chłopi odjeżdżali do domu, a krupiarze około 7 rano stawali u siebie, skąd zamaszyste kobiety wyprawiały się do

miasta na targ z towarem, dnia poprzedniego przygotowanym. Musiało być tego tyle, by cały Lwów zaopatrzyć. Nie znano jeszcze parowych młynów. Rojno było przy straganach na placach Halickim, Krakowskim i w Rynku i ledwie był czas wpaść na śniadanie, „pod dzwona” lub „kanarki” albo „wiewiórkę” dla pokrzepienia gardła.

Trzy kwadranse na drugą dzwonek z ratusza wzywał do sprzątnięcia straganów, wtedy krupiarce wracały na swych wózkach do domu na obiad, aby po nim zabrać się do czyszczenia towaru na dzień następny. Już go pan majster był przy pomocy czeladzi z grubsza przysposobił na ręcznym młynku lub żarnie. Tak schodził czas do wieczora, by po północy zacząć nowy dzień. Oczywiście w tym pracowitym ruchu nie zapominano o Bogu. Czczono Go i ścisłym postem wielkanocnym, kiedy do omasty używano jedynie oleju konopnego. Bili go z siemienia dwaj krupiarze, Wojnarowicz i Kozaczewski.

Dawano sobie ducha w święta Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia. Górni łyczakowianie stanowili niejako jedną wielką rodzinę, nie rozumiano przeto zabawy bez udziału bliskich i dalszych sąsiadów. Taki poczęstunek, rozpoczęty po powrocie z kościoła lub cerkwi, trwał procesjonalnie, od domu do domu, nieraz dobę i pochłaniał niezmiernie ilości kiełbas, kiszek, pieczeni i kapusty oraz beczki całe piwa i jeziora wódki.

Niezależnie od takich uroczystości, bawiono się na weselach, chrzcinach itp. Młodzież żeniono przeważnie sąsiad z sąsiadem, choć i na inne przedmieścia oddawano córki lub swatano synów – jako rozsądniki kultu łyczakowskiego. Chłopców starano się wykupić z wojska, była na to nawet taksa, ok. 1200 guldenów! Ale płacono, bo młody przecież tracił całą wolność na lat kilkanaście...

Młodzi poznawali się na zabawach, świętach lub weselach i gdy dość już sobie powiedziano, zawiadamiano rodziców. Ci układali między sobą sprawy posagu, a następnie

zapijano rzecz w „Hotelu de Laus” lub u „Ły-sego Maćka” (od dawna nieistniejący już szynk na pagórku naprzeciw cerkwi, gdzie dziś dom nr 97). Wesele odbywało się oczywiście w domu i trwało z reguły dwa lub trzy dni, zawsze w niedzielę, zawsze na koszt rodziców panny, z wyjątkiem muzyki i piwa, to należało do nowożeńca.

We czwartek, na trzy dni przed weselem, jechała panna młoda ze starościna z zwykłym wozem spraszać gości na wesele, w sobotę zaś dwaj druźbowie z bukietami u piersi ponawiali zaproszenie taką oracją: „Za pierwszą i powtórna oracją w dom państwa wkraczamy, ukłon pana młodego i panny młodej do nogi składamy. Oboje państwo proszą, byście państwo nieodzowni byli, w niedzielę o godzinie 6 wieczorem do kościoła św. Antoniego przybyli, a potem do państwa młodych, gdzie się będziemy weselili. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Zapraszano druźbów na wódkę i przekąskę, a i panna młoda nie mogła odmówić poczęstunku. Zaproszona na wesele gospodyni wtykała jej do ręki cwancygiera lub guldena „na warzozkę”.

W przeddzień ślubu zaproszeni goście przysyłali tzw. „pocztę”: parę gęsi, indyka, parę kur lub kaczek. Było to znakiem, że goście zjawia się na weselu.

Zaraz po obiedzie w niedzielę jawili się w weselnym domu muzykanci, broń Boże Żydzi! Dwu „skrzypicieli”, basista, jeden z fletem lub kłarnetem, dwu waltornistów lub puzonistów. Podjadłszy i popiwszy ruszali z drużkami po starościna, druźbów i swachę. Jak taka kawalkada wyglądała, podaję opis wesela u krupierza K.:

Na czele pochodu stał druźba w kapeluszu naszymi wiórami stolarskimi, w kaftanie pstrym, pchając taczkę okrytą dywanem. Za nim muzyka, a za nią drugi druźba na koniu, w masce, fraku i trójgraniastym kapeluszu, siedział twarzą do ogona końskiego. Pod ogonem szkapu uwiązany był kałamarz, a w ręce druźby długie gęsie pióro, którym zapisywał gapiów. Muzyka grała skoczne krakowiaki. Tak sproszeni goście weselni obsiadali ławy i stołki, następowały przemówienia i odpowiednie obrzędy.

Po otrzymaniu błogosławieństwa od rodziców ruszał pochód pieszo do kościoła św. Antoniego lub cerkwi św. Piotra i Pawła, z muzyką na czele. Po obrzędzie zaślu-

2. Jan Rybotycki, *Dwie Schodnice – wieś i osada przemysłowa* [w:] „Ziemia Drohobycka” 17–18/2004 i 19–20/2007.

3. Opisy na podstawie autopsji.

SIEMIANÓWKA

Wieś w pow. lwowskim, wojew. lwowskim, łącząca się po stronie pd.zach. z miasteczkiem Szczercz, położona nad potokiem Stawczanką, dopływem rzeczki Szczerek (lewym dopływem Dniestru). W XVII–XVIII w. była własnością (lub dzierżawą) Potockich. Pod koniec XVIII w. Pelagia Potocka wzniosła tu klasycystyczną rezydencję w typie willi włoskich, a w niej prowadziła znany salon towarzyski. W XIX w. pałac i okoliczne dobra zmieniały właścicieli; ostatnimi od początku XX w. do II wojny światowej byli Sulatyccy, którzy pomieścili tu przeniesioną z Podola rosyjskiego cenną kolekcję dzieł sztuki. W czasie I wojny w pałacu mieścił się lazaret, a zdewastowaną budowlę w 1929 r. rozebrano. Piękny park wycięto w czasie II wojny.

W Siemianówce zachował się barokowy kościół z 1. połowy XVIII w. pw. św. Marcina, ufundowany przez Teresę Potocką, zamieniony po II wojnie na magazyn ziarna. W latach 1990. kościół zwrócono wiernym i wyremontowano; obsługiwany przez księży ze Szczerca.

TOMASZOWCE

Wieś w pow. kałuskim, wojew. stanisławowskim, położona 17 km na pn.wsch. od Kałusza i 5 km na pn.zach. od Wojniłowa, w dolinie rzeczki Bołochówki, dopływu Dniestru.

Znani są właściciele wsi od XV w., m.in. w XVI w. Sieniawscy. W XIX w. majątek przeszedł na Suchodolskich, w końcu przez małżeństwo – na rodzinę Ujejskich. W latach 1930. grunty dworskie rozparcelowano, resztówkę wraz z ruinami klasycystycznego dworu z 1. poł. XIX w. przejął dzierżawca Z. Fedorowicz. Dziś nie ma po dworze śladu.

Tomaszowce należały do parafii w Wojniłowie, na miejscu była ekspozytura, erygowana w 1907 r., w 1926 r. zamieniona na parafię. Kościół wzniesiono w 1899 r., rozbudowano w 1907 r. W 1943 r. Polacy zaczęli opuszczać Tomaszowce, a rok później wieś została spalona przez bandy UPA. Kościół rozebrano pod koniec lat 1940.

bin następowało powitanie w nowym domu. Przykrywano młodych kożuchem, włosami na wierzch, i na tacy podawano chleb, cukier i wódkę, po czym hulano do północy, do kolacji. Pod koniec wieczery ginęła panna młoda, a obowiązkiem pana młodego było ją wyszukać. Trwało to nieraz godzinę.

Teraz starym obyczajem rozpoczynano „taniec poduszkowy” przy dźwiękach poloneza. Na środku pokoju siadał pan młody, na kolana dawano mu poduszkę, na której siadała panna młoda. Zdejmowano wieniec i welon, drużbowie wnosili czepiec.

Hasano do rana, a nazajutrz powtórnie na „poprawinach”. Mimo ciężkiej pracy, byli dawni łyczakowianie niestrudzeni w zabawach i tanach. Żyli ciężko, ale po bożemu. W święta i niedziele zapełniali kościół św. Antoniego, a w awdencie już o 5 rano świątynia była pełna na roratach.

Dziś inaczej na górnym Łyczakowie. Handel krupami popadł w obce ręce, krupiarze albo podupadli, albo zniknęli, albo stali się agentami handlarzy hreczką i produktami młynarskimi.

Jako pomnik dawnych czasów pozostała do dziś kaplica, ani podobna do dawnej, o której stare legendy istnieją. To pewne, że początki dawnej figury giną w niepamięci najstarszych łyczakowian. Samą figurę Matki Boskiej miał postawić awanturniczy szlachcic, jako ekspiację za grzechy. Wersja cytowana przez Schnura-Peplowskiego podaje Mikołaja Potockiego, słynnego starostę kaniowskiego. Ale mógł być też pan na Winikach z XVII wieku, Łahodowski, którego pamiętano z warcholstw we Lwowie.

Figura stała zrazu pośrodku gościńca gliniańskiego. Jakiś dygnitarz austriacki zawadził o nią kolaską, jadąc wieczorem. Rozgniewany, kazał figurę wyrzucić obok pod parkan. Niebawem ociemniał... Pobożni łyczakowianie podnieśli figurę i postawili tam, gdzie dziś stoi kaplica. Tak było do roku 1850, kiedy to krupiarz Parada postawił dookoła figury kolumny i nakrył je daszkiem. W kilka lat potem obywatelka Gorecka zainicjowała budowę kaplicy, której miejsce zajęła przed paru laty nowoczesna obecna.

Jak widać, łyczakowianie dawni byli wytrwali w obronie swych pamiątek i tak samo bronili swej własności. Mieli bowiem, niby osobna gmina, swą wspólną własność, kil-

kadziesiąt morgów ziemi za rogatką łyczakowską, nadane im na użytek na prawie rolnym.

Magistrat miejski pozazdrościł przedmieszczanom „halickiego przedmieścia” owych pastwisk i chciał zmusić przedmieszczan do odrabiania szarwarkowych powinności. Łyczakowianie, czyli przedmieszczanie, nie dali się, wiedli długi spór o swe prawa. Ostatecznie proces, zakończony w 1627 roku, z magistratem lwowskim stwierdza akt własności (w odpisie wierzytelnym tekstu łańcuchowego):

„Zygmunt III z łaski boskiej król Polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki i Liwonii, jako też dziedziczny król szwedzki, gocki, wandalcki. Dajemy do wiadomości wszystkim, że w sprawie szanownego Jakóba Kryskiego i Macieja Ziemianka w swoim i wszystkich przedmieszczan lwowskich imieniu przeciw szanownym prokonsulowi, konsulom, adwokatowi, ławnikom i całemu zgromadzeniu naszego miasta Lwowa z okazji przynaglenia i przymuszania przedmieszczan do ciężarów i robót nienależnych wbrew przepisom przywileju najłaskawszego króla Zygmunta, dziada naszego, przez poruszających tę sprawę w naszej kancelarii znalezionego”... itd.

Przywilej królewski uszanował i rząd zaborczy i późniejsze magistraty lwowskie, pozostawiając łyczakowian w spokojnym posiadaniu gruntu na Pasiekach. Gospodarka jednak majątkiem była taka, że przynosiła korzyść jedynie zarządzającym. Bywało, że kazano przedmieszczanom płacić za glinę czy piasek na ich gruncie brane. Na obszernym kilkunastomorgowym pastwisku odbywała ćwiczenia wojskowość. Stosunki zmieniły się po r. 1881, gdy gospodarka majątkiem przeszła w ręce obywatela Podłowskiego. Ten zabrał się do pracy energicznie: plac ćwiczeń wydzierżawiono wojsku, wynajmuje się pastwiska i grunta, a dochód z tego idzie na cele dobroczynne i publiczne. Część dochodów obrócono na budowę wspomnianej kaplicy. Nie marnuje się majątek będący pamiątką po królach.

Przedmieszczanie nie brali cudzego i swego łatwo nie oddali, a nie mając w sercu zawziętości, bawili się przy każdej okazji. Urządzano muzykowanie na harmoniach, czasem na pokrywkach blaszanych, gdy innego instrumentu nie było pod ręką. Od



Bożego Narodzenia do Gromnicznej młodzi przebierali się za kolędników z nieodłącznym „Turoniem”, tj. baranem, Żydem, ułanem, huzarem, pastuchem, laufrem itd. Chadzano również z „wertepą”, tj. szopą, ale tylko do znajomych. Z czasem wzięło się do tego i przedmiejskie tałatajstwo, aż kolędnictwo spowszedniało.

W ostatni wtorek przed Popielcem odbywało się w Hotelu de Laus chowanie do grobu basa. O północy zbierali się obywatele na zabawę. Z kuflem lub kieliszkiem obchodzono procesyjnie lokal, potem otwierano szynkwasy i wkładano doń basetkę. Przy tym wypowiadano komiczne i tłuste mowy pogrzebowe. Zabawa trwała do rana, płacono nawet przy muzyce, ale bez basetli.

Charakterystycznie odbywały się pogrzeby dzieci. Czterej drużbowie, jeśli dziecko było dziewczynką, lub druhny, jeśli był to chłopiec, ustrojeni kwiatami, brali trumienkę na chustki. Trzymając jej końce, chwiali nią u progu domu, wypowiadając trzykrotnie formułkę: – *Dziękuję ci, panie ojcze, dziękuję ci pani matko za wychowanie.* – Po czym udawano się na mogiłki, czyli po Łyczakowsku „na piaski”. Po powrocie musiała być stypa.

Jeszcze jedną osobliwość miał górny Łyczków, ale to już za rogatką. Była to tzw. „dziadownia”, czyli dziadowska gospoda. Tam złązili się z całej dzielnicy, a mieszkając razem i wspólnie gospodarząc, tworzyli coś w rodzaju dziadowskiej republiki, nie niepokojonej zresztą przez policję. Gdy z czasem zabawy dziadowskie zaczęły przekraczać miarę, przepędzono ich z Krzywczyc i Łyczakowa i poróżniali się, głównie w północne strony.

Szkic nie byłby pełny, gdybym nie wspomniał o paru indywidualnościach tutejszych, zanim się przedmieszczactwo nie skosmopolizowało.

Strój mężczyzn w dniu powszednie składał się z w lecie z krótkiego spencera, spodni do butów z wysokimi cholewami, granatowej kamizelki, chustki na szyi i czapki z daszkiem (sadelka). Strój ten uzupełniała wystająca z kieszeni chustka do nosa, koniecznie kolorowa. W dniu świąteczne granatowa kapota i konfederatka, niekiedy cylinder, zimą kożuszek barani.

Kobiety wiązały chustką głowę gładko uczesane, nosiły dostatnie katanki wełniane, krochmalone podwójne spódnice i chusty na ramionach. No i korale, niekiedy dużej wartości. Dziewczęta nosiły się podobnie, ale bez chust na głowie, lecz spuszczały warkocze, a we włosy wpinały kwiatki. Dziewoje były rosłe, rumiane i zamaszyste, a odważne. Gdy jakiemu natrętowi ręka przylepła, to długo pamiętała natychmiastową nauczkę.

Dla złagodzenia obyczajów i ogłady towarzyskiej nie mogła pomóc jedyna szkoła „trywialna” trzyklasowa im. św. Antoniego. Zresztą chodziło do niej zaledwie 1/4 dzieci, a 3/4 to analfabeci, pilnujący domu, młodszej dziatwy, koni lub bydła. W dodatku jedynym wówczas środkiem pedagogicznym była trzcina lub kartka „cenzora”, za którą brało się 5 do 10 plag bez względu na płeć. Nic dziwnego, że młodzież czekała z utęsknieniem, że rychło ukończą „trywialkę” i albo zostaną w domu do pomocy w gospodarstwie lub pójdą „na mularkę” zarabiać i uzyskają dostęp do rzemiosła, czyli rzeźnictwa

czy krupiarstwa. Krupiarze tworzyli rodzaj arystokracji łyczakowskiej.

Z tej „arystokracji” nie wychodziło awanturnictwo, za to murarze lub rzeźnicy byli postrachem nawet dla samych mieszkańców przedmieścia. Górny Łyczaków przekazał pamięć tych paru junaków, którzy odznaczili się temperamentem, niemającym nic wspólnego z bandytyzmem np. kleparowskim czy zamarstynowskim. Była to swego rodzaju rycerskość łyczakowska.

Prym w tym gronie trzymał przez lata murarz Kuba Pełc. Pewnej niedzieli ok. 1848 roku podczas zabawy w karczmie za rogatką, zwanej „babski korzeń”, powrzucał do studni głową na dół jednego po drugim 9 grenadierów, chłopów na schwał, którzy (Rusini) „odznaczyli się” w czasie bombardacji Lwowa (gen. Hammersteina). Ten straszny Kuba wzrostu był średniego, łagodny, póki nie popił. Wtedy wydawał z siebie ryk i bił, co pod rękę wpadło. Kiedy po wypłacie wracał na Łyczaków i koło św. Piotra ryknął swoje „enium”! – słyszano za rogatką i ustępowano z drogi.

Ale do czasu panował Kuba, aż go w czasie jakiejś zabawy zmógł i pobił Kasper Smoleński. Ale i ten niedługo trzymał berło, bo natrafił na rzeźnika Antka Plecionę, który przez kilkanaście lat rej wodził w zawodziakich na Łyczakowie rozprawach.

Gdy nadchodził czas rekrutacji lub gdy na pięty Plecionowi następowała policja, umykał on do Rosji, gdzie handlował wieprzami. Gdy sprawa przycichła, wracał znów, na postrach strażników skarbowych, pełniących służbę na rogatkach Lwowa. Był przemysłnikiem z amatorstwa. Pewnego razu, przemycając cielecia z Krzywczyc, gdy go strażnicy chcieli przytrzymać, połamali im karabiny i pobił. Wkrótce umknął do Besarabii. Gdy z niej wrócił, natrafił na rzeźnika Grunera, który go w bójce zmasakrował. Gruner był człkiem niebywalej odwagi. Drzwi rozbić głową – było dlań niczym, a atletów z cyrku (cyrk zwał się we Lwowie „rajteraj”) kładł jednego po drugim.

Poczet łyczakowskich awanturników zamykali rzeźnik Berliński i murarz Iwanowski. Ich taktyką wojenną było wpadać w środek większego zebrania, zrobić zamieszanie i bić dokoła, kogo dopadli. Nim pobici mieli czas ochłonąć, oni kłaniali się figlarnie i odchodzili jakby nigdy nic.

Niektórzy gospodarze, czy to dla fantazji, czy jako ekspiacja za burdy, mieli zwyczaj sprzątać fety dla dziadów. W oznaczonym dniu zabijano wieprza, narobiono kiebas i kiszek, nagotowano kapusty i sprowadzano zapas wódki i piwa. Do stołu zwożono 12 dziadów, albo z ulicy, albo z domu ubogich, i fetowano ich, a sam gospodarz usługiwał do stołu. Po paru godzinach ze łbów się kurzyło, a nogi odmawiały posłuszeństwa i dziadostwo pokotem się kładło na podłodze, ku wielkiej ucieście gospodarstwa.

Tak to żyli i bawili się przed półtora wiekiem na górnym Łyczakowie.

Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie. Miejsce diabelskiego młyna na łyczakowskiej górze zajął park Łyczakowski z pomnikiem Głowackiego, a już za rogatką wyciąga swe ramiona cywilizacja – i ciężka walka o byt i codzienny kawałek chleba, który przedmieszczanom przed półtora wiekiem daleko łatwiej przychodził.

Rodzajem enklawy do przedmieścia łyczakowskiego, bo przedzielona tzw. Łysą Górą, była ulica św. Wojciecha i okolica Wysokiego Zamku pod Kopcem przy ulicy Teatyńskiej. Okolice ta jeszcze do niedawna nie miała dobrej sławy, głównie z powodu osiedlonych tam Cyganów, którzy przed dziesiątkami lat zaczęli się o Lwów. Magistrat lwowski niechętnie patrzył na próby osiedlenia się tych potomków Indów znad Gangesu i czym prędzej transportował ich dalej. Były jednak czasy, gdy władze miejskie były mniej surowe i na utrapienie mieszkańców miasta nie miały nic przeciw „uobywatelnieniu” Cyganów.

Na osady takie wyznaczono im jary pod Wysokim Zamkiem, tuż pod obecnym kopcem Unii Lubelskiej, od strony ulicy Teatyńskiej, oraz ulicę św. Wojciecha. Gospodarka nowych obywateli rozpoczęła się po cygańsku. Pozakładali kuźnie, gdzie robili podkowy, haki i gwoździe, zasilając tym blacharzy do robót dachowych. Ale wrodzone rzemiosło przywłaszczania sobie cudzych rzeczy uprawiali z daleko większym zamiłowaniem.

Wobec takich warunków bezpieczeństwa własności przedmieszczan sąsiadujących z Cyganami stało się problematyczne, a zdarzało się coraz częściej, że przejście tymi ulicami po zachodzie słońca stanowiło niebezpieczeństwo.

Cyganie z ulicy św. Wojciecha i spod Zamku osiedli wśród gęstszego zaludnienia, tracili swój charakter, choć nie ze wszystkim. Dowody – w rejestrach lwowskich sądów karnych.

Najsmutniejszą przeszłość miasta miała samotna osada cygańska pod Kopcem. Stała tu kuźnia cygańska, gdzie dziś wygodna droga, wysadzana drzewami, z zielonymi trawnikami, zapraszającymi do spacerów. Przed laty był w tym miejscu głęboki jar i dzikie pustkowia. Kopano tu kamienie, a gdy ich zapas się wyczerpał, nic już nie ożywiało tego miejsca. Było tu dziko i strasznie, unikano jaru nawet w dzień. Do okropnego wyglądu przyczyniła się okoliczność, że wyrzucano tu padlinę wszelką z okolicy, tak że powietrze w dzień letnie było nie do zniesienia. Tylko mieszkańcom kuźni nic to nie szkodziło.

Będąc w tej okolicy nie możemy pominąć milczeniem studni, która do niedawna smutną cieszyła się sławą. Nazywano ją „studnią samobójców”.

Nieco dalej w górę ulicy Teatyńskiej widać dawniej stroma i wąska ścieżka, prowadząca do wspomnianego kamieniołomu i kuźni, podejrzanych typów, szukających w jarze noclegu lub schronienia. Przy tej ścieżce stała ta studnia, lichy ocembrowana, bardzo głęboka, z której kołem wiadrami wodę wybierano. Nie wiadomo kiedy znaleziono w niej pierwszego samobójcę. Potem zdarzało się to coraz częściej, podejrzewając, jak świadczyły ślady, że nie zawsze sami targnęli się na swe życie. Ostatecznie studnię zasypano. Wraz ze swą sąsiadką, kuźnią cygańską w jarze, znalazła może jedyną wspomnienie w niniejszej notatce.

* Zmieniono, jak w pierwszym odcinku (CL 2/10): nie *przed pół wiekiem*, lecz *przed półtora wiekiem*, ponieważ od czasu napisania tego opowiadania minęło całe stulecie.

** Dawnego kościoła odebranego przez Austriaków oo. Paulinów – w ramach kasaty zakonów po I rozbiore.

Tadeusz Krzyżewski

LWOWSKI „ŻYD WSPANIAŁY” Wiktor Chajes (1875–1941)

W swych pamiętnikach z lat 1926–1939, urodzony we Lwowie Wiktor Chajes, przedstawiciel władz samorządowych przedwojennego – ale od 600 lat polskiego miasta – przenosi nas do owych krwistych lat poprzedzających II wojnę światową, wskrzeszonych utalentowanym piórem człowieka pełnego wigoru, szlachetnego patriotyzmu i niesłabnącego optymizmu.

Przez ćwierć wieku był z urzędu reprezentantem i obrońcą mniejszości żydowskiej, najpierw jako radny, a następnie od 1930 r. – wiceprezydent królewskiego stołecznego miasta Lwowa, liczącego w połowie 1939 r. 360 000 mieszkańców. Z górą 30%, tj. około 100 000 obywateli, stanowiła mniejszość żydowska, 60% liczyli Polacy, a pozostałą część ludności – Ukraińcy oraz nieliczni przedstawiciele innych mniejszości.

Były to ostatnie, jeszcze „złote czasy” dla Żydów polskich, którzy w państwie tolerancyjnym dla swych mniejszości korzystali z licznych swobód w zakresie działalności zawodowej, religijnej i kulturalnej. Łącznie liczba ich wynosiła w Polsce 3,5 miliona, tj. 11% ludności. Była to mniejszość procentowo i globalnie największa spośród wszystkich państw w Europie.

I to właśnie było siłą i słabością polskiego żydostwa.

Ruchliwa, żądna wiedzy, garna się do handlu, przemysłu, budownictwa, bankierskiego obrotu pieniężnego i wolnych zawodów, a stroniąca od ciężkiej pracy na roli, w górnictwie czy hutnictwie, a także w wojsku i obronności kraju, uprzywilejowana od czasów króla Kazimierza Wielkiego w powyższych dziedzinach, ludność żydowska zaczęła masowo napływać do miast, szczególnie wschodniej



i południowo-wschodniej Polski, poczynając od jej stolicy.

Przed II wojną światową stanowiła dominujący element miejski w tych częściach kraju, przykładowo zaś w takich miastach i miasteczkach jak Brody, Buczacz, Czortków, Podhajce, Zaleszczyki, a także wojewódzkie Tarnopol czy Stanisławów wskaźnik ludności żydowskiej przekraczał często 50%, co jaskrawo klóciło się z 11% wskaźnikiem ogólnopolskim i świadczyło o rosnących dochodach tej części ludności żydowskiej, z upośledzeniem pozostałej, uboższej ludności polskiej w miastach i na prowincji rolniczej. Z tego okresu pochodzą obiegowe przechwałki Żydów, trudniących się wolnymi zawodami oraz pracujących w handlu i przemysle miejskim, którzy często publicznie oświadczali żalącym się gojom: *No dobrze, ale wasze są w Polsce tylko ulice, nasze zaś kamienice...* Satyrycy pisali równocześnie w prasie ironicznie i gwarowo:

*Bo Galicję kraj jedyny
To są nasze Palestyny...*

Rosnąca po I wojnie światowej konkurencja i walka o byt powodowały w Polsce z jednej strony konsolidację żywiołów narodowych, z drugiej zaś otwarty bojkot i walkę z Żydami w dziedzinie gospodarczej. Bojkot, np. na uczelniach wyższych, wyrażał się we wprowadzeniu zasady *numerus clausus*, tj. ograniczenia liczby studentów-Żydów do ogólnego procentu Żydów w skali całego kraju.

Żydzi, zmuszeni rosnącymi ograniczeniami, zaczęli z kolei szukać rozwiązania kwestii żydowskiej poprzez emigrację i nasilenie międzynarodowego ruchu syjonistycznego, którego celem było zdobycie ziemi w Palestynie. Stała się ona w końcu zalążkiem niezależnego państwa Izrael.

Działacze żydowscy w Polsce, szczególnie we Lwowie, szukali konsekwentnie rozwiązania tej sprawy również w drodze asymilacji, tj. stopienia się z żywiołem polskim przez przejście języka i kultury naszego narodu. Była ona szczególnie atrakcyjna dla tradycyjnej inteligencji żydowskiej, która wydała tak znakomitych działaczy i uczonych, jak Feldman, Aszkenaze, Jakub Diament, Lilien, Felsztyn, Loewenherz, Parnas i inni. Do tej grupy należał W. Chajes, który po ich śmierci, krótko przed wojną,

urósł do miana wodza lwowskiej asymilacji żydowskiej.

Godzi się wspomnieć, że z tego środowiska wyszli – już jako emigranci powojenni – uczeni światowej sławy: Stanisław Marcin Ulam (1909–1984), syn Józefa Ulama, politycznego przyjaciela Chajesa, absolwent Politechniki Lwowskiej, znakomity matematyk i fizyk, współtwórca bomby wodorowej w USA, oraz jego młodszy brat Adam Ulam, politolog (1922–2000), prof. Harvard University; prof. UJK Jakub Parnas (1884–1949), mikrobiolog, twórca współczesnej biochemii; pisarze – Józef Wittlin (1896–1976), kandydat do nagrody Nobla (nieukończona powieść „Sól ziemi”), oraz Marian Hemar-Hescheles (1901–1972), pisarz, satyryk, najznakomitszy poeta Lwowa XX wieku.

Kultura i polszczyzna urzekły W. Chajesa już jako 9-letniego chłopca, mimo że pochodził z chasydzkiej, rabinackiej rodziny. Jako późniejszy student polskiego gimnazjum im. Franciszka Józefa asymiluje się tak skutecznie, że urządza wieczorki patriotyczne, zakłada kółka samokształceniowe, tworzy nielegalną organizację Orła Białego i w więzieniu austriackim zdobywa szlify polskiego konspiratora.

Po trzyletnim pobycie w Berlinie, gdzie ukończył Akademię Handlową, wraca do kraju i zakłada własny Dom Bankowy. Prowadził go ze zmiennym szczęściem aż do II wojny światowej, ale w każdym przypadku zapewnił mu on niezależność finansową. Dzięki niej rozwija bogatą działalność filantropijną i społeczną. Funduje biblioteki, rozbudowuje szkoły, ustanawia stypendia, prezesuje działalności żydowskiej gminy wyznaniowej (kahału). Jako prezydent miasta, towarzyszący w pracy prezydentowi prof. drowi Stanisławowi Ostrowskiemu wraz z dr. Janem Weryńskim i Franciszkiem Irzykiem, kieruje sprawami kultury, teatrów, propagandy i turystyki miasta oraz kilku przedsiębiorstw miejskich. Należy do założycieli i komitetu wykonawczego Targów Wschodnich 1921–1939.

Szczerłość, uprzejmość i dostępność dla wszystkich jednały mu przyjaciół i łagodziły gniew antagonistów. Fortuna mu sprzyjała, kochał Lwów, swe miasto rodzinne, i Polskę, był wiernym, wytrwałym zwolennikiem marszałka Piłsudskiego. Poskapiała mu jedynie własnego potomstwa, tym więc pieczoło-

wiciej opiekował się młodzieżą żydowską i polską oraz przybraną córką, Polką.

Ostentacyjnie i własnym przykładem podkreślał swe umiłowanie polskości. On jeden, jako członek prezydium miejskiego, zjawiał się na uroczystościach i manifestacjach narodowych ubrany w ciemną czamarrę XIX-wieczną, z dekoracyjnym, złotym łańcuchem prezydenckim na szyi!

Stusznego wzrostu i miernej tuszy, łysiejący, ale z puklami siwych włosów oraz sumiastym wąsem, budził swą szlachetną postawą respekt i staropolską sympatię.

Przeżył swe ideały, rozczarował się do idei asymilacji żydowskiej, ale wiernie trwał na narodowym posterunku kresowego miasta, choć przeczuwał instynktownie przyszłość i bał się mściwego diabła historii, który już wówczas groził milionami ofiar w hekatombowej katastrofie, nazwanej później żydowskim „holocaustem”. Pisał o tym częściowo w swych pamiętnikach.

Przestrzegał w nich również przed nadchodzącą apokalipsą światową i wojennym Aniołem Zniszczenia, który jeszcze przed rokiem 1939 kreślił dla jaśniej widzących na polskim niebie swe biblijne „mane, tekel, fares”.

Nie tracił jednak nadziei i wierzył w pomyślne jutro oraz ostateczne zwycięstwo Polski.

Tuż przed wejściem barbarzyńskiego wroga ze wschodu do rodzinnego Lwowa dnia 21 września 1939 zanotował w swym pamiętniku: *...jestem dość spokojny, na śmierć przygotowany, ale boję się, żeby mnie hitlerowcy nie sponiewierali i nie zamordowali wśród mąk.*

Jednak to nie hitlerowcy go sponiewierali i zamęczyli!... Następnego dnia o godzinie 2 w nocy zdażył jeszcze zapisać ostatnią, hiobową wiadomość: *Gen. Langer oddał miasto sowieckiej armii, która lada godzina wejdzie do Lwowa. Niech żyje Polska!*

Wkrótce też został aresztowany przez agentów bezpieki NKWD, podobnie jak pozostali koledzy-członkowie prezydium miejskiego, każdy oddzielnie. Ocalał jedynie prezydent Ostrowski jako profesor – lekarz uniwersytecki, wywieziony do Moskwy, osądzony i skazany na 8 lat łagru w Mongolii. Został zwolniony w listopadzie 1941 r. na mocy amnestii, zastrzeżonej w umowie Majski–Sikorski.

W. Chajes, wywieziony do Starobielska, chory na nerki, zmarł – według niepotwierdzonych informacji polskich jeńców, którzy wrócili z łagrów sowieckich – w więziennym szpitalu na uremnię z początkiem 1941 roku. O dwu wiceprezydentach J. Weryńskim i F. Irzyku brak jakichkolwiek wiadomości.

Barbarzyński okupant zataił ich martyrologię i zataił ślady istnienia polskich rządów przedwojennego Lwowa. Podobny los sądzony był pomnikowi bohaterstwa Lwowskich Dzieci – Cmentarzowi Obrońców. Został on zdruzgotany sowieckimi buldożerami w 1970 roku. Kapryśny los sprawił, że ocalało środkowe przesło tzw. Łuku Chwały – brama wejściowa, a na niej łacińska inskrypcja: *Mortui sunt ut liberi vivamus...*

W odbudowanym częściowo w latach 1989–1992 Cmentarzu Orłąt Lwowskich ten fragment naszej chwały i miłości ku rodzinnemu Miastu sterczy samotnie ku niebu na tle zabudowań miejskich, by świadczyć przed światem okrwawionymi murami, że ostatni rozdział lwowskiego męczeństwa jeszcze dopisze historia, bo Oni wszyscy – Polacy i lwowscy Żydzi – bohaterko i bez wahania *UMARLI, ABYŚMY MOGLI ŻYĆ WOLNYMI.*

Dr Tadeusz Krzyżewski, kierownik Biura Propagandy i Turystyki m. Lwowa, był współpracownikiem W. Chajesa w latach 1937–1939.

1996

Errata

Sto lat to nic wobec wieczności, ale taka właśnie pomyłka w tekście to sprawa poważna. W numerze CL 2/10 na str. 5, prawa szpalta, wiersz 21 od dołu – zamiast roku **1817** wydrukowano **1917**. Identyczny błąd powstał na str. 8, lewa szpalta, wiersz 15 od dołu, ma być: **1834**, a wydrukowano **1934**. Czytelników bardzo przepraszamy.

W tym samym numerze, w *Słowniku*, na str. 35 i 37 dwukrotnie napisano mylnie nazwę dzielnicy **Mrażnica** jako **Mażnica**. Bardzo przepraszamy Czytelników związanych z tą częścią Wielkiego Borysławia i w ogóle wszystkich borysławian.

I jeszcze w tym samym numerze 2/10: w stopce redakcyjnej na III stronie okładki zostało pominięte nazwisko naszej aktywnej Koleżanki, **Anny Stengl**! To jakiś błąd techniczny, za który przepraszamy!

Adam Trojanowski

Wsi spokojna (2)

Gospodarka dworska w Kochanówce była dość prymitywna i sprowadzała się zasadniczo do reprodukcji ziarna zbożowego oraz sprzedaży mleka i to bez uprzedniej przeróbki. Chyba tylko trzodę chlewną sprzedawano w miarę jej rozrostu i to na pewno po niskich cenach. W Kochanówce nie było młyna, nie mówiąc już o gorzelnii czy olejarni. Tartaku także nie było, a to ze względu na małą ilość lasów. Gleby niskiej jakości poprawiano gnojeniem oraz sianiem żółtego łubinu i seradeli. W takiej sytuacji ciężko było tam gospodarzyć, zwłaszcza że majątek był odległy od większych miejscowości.

W nieco dalszej odległości znajdowały się inne majątki, stanowiące własność lub dzierżawę. Najbliżej było Porudno, gdzie gospodarzyli państwo Balaszowie. Głowa rodziny była rodowitym Węgrem, który podczas polowania doradzał zaproszonemu księciu stanowiska: *Księdza, księdza! Pod tą brzoza!* Mieli syna Janka, który przebywał we Lwowie w Korpusie Kadetów nr 1. Drugim synem był Pista, który przedstawiał wrodzony węgierski temperament oraz wolność w traktowaniu świata. Jedyne córka była żoną oficera Wojska Polskiego. Kontakt wujostwa z tą rodziną, jak i z innymi był raczej rzadki. Sprowadzał się raczej do spotkań młodzieży na balach lub towarzysko wystawianych wspólnie w Krakowcu miernej jakości sztukach teatralnych. W zimie w Porudnie były tradycyjnie polowania, w których uczestniczył nieraz mój ojciec.

Drugą rodziną byli państwo Karczewscy w majątku Morańce. Mieli syna Kazika, rówieśnika Zbyszka, który używał wraz z nim za młodu na podobnym koniu arabskim. W Morańcach odbywały się czasem zbiorowe kąpiele w tamtejszej rzece Szkło, na które duże, wesołe towarzystwo przybywało z Kochanówki wozem drabiniastym, odpowiednio przysposobionym. To była zabawa i radość! Była jednak raz i chwila grozy, kiedy Eros z siedzącym na oklep Zbyszkim ewidentnie topił się na naszych oczach. Uratował się w ostatniej chwili, kiedy natrafił na zbawczą mieliznę.

W Kochanówce była tylko niewielka rzeczka Retczyn, dopływ wspomnianej rzeki Szkło. Na niej to, za sprawą mojego pełnego zawsze różnych pomysłów ojca, zbudowana została ziemna tama, spiętrzająca wodę. Umożliwiło to naszą skromną kąpiel. Przy tej okazji ojciec odkrył, że Retczyn jest pełen raków i wtedy to nastąpiły okresowe łowy tych biednych – z powodu swej smakowitości – skorupiaków. Kolejnym odkryciem ojca było stwierdzenie, że w dworskim, prowadzonym po angielsku parku znajduje się na wysokich drzewach wiele dużych, starych i suchych gałęzi. Sporządził długą żerdkę zakończoną tzw. *kluczką* i w ten sposób zrywał je i dostarczał paliwo do dworskiej kuchni. We wspomnianym parku była ciekawostka, a mianowicie bardzo wysoki świerk, który na swoim pniu miał śrubowy, idący ku ziemi ślad, najprawdopodobniej pochodzący od uderzenia pioruna.

Niedaleko mostu na drodze w stronę Moraniec, na skraju lasu rosło dziwne drzewo. Były to ciasno oplecione i wzajemnie się przenikające grab oraz brzoza. Pod nim siedziała czasem stara kobieta, zwana Wrózką, jako że zajmowała się przepowiadaniem przyszłości, w razie potrzeby rozdawała korę z tego dziwnego pomnika żywej natury, celem sporządzenia naparu przynoszącego pozytywne zmiany, zależnie od potrzeby. Mówiono, że była oskarżona swojego czasu o rzekome zabójstwo męża. Może nie odpowiadało to prawdzie, jednak jakoś pasowało do tej dziwnej postaci, jak z czasów pogańskiej ciemnoty oraz przesądów.

Na wschód od dworu znajdowała się duża stodoła oraz tereny, na których były ustawiane sterty zboża do młócenia, a później słomy. Zbiór zbóż odbywał się, zależnie od ich rodzaju, bądź koszeniem ręcznym kroczącego rytmicznie szeregu kosiarzy, bądź wykonywany był przez przykurczone kobiety, koszące owies sierpem. W dogodnych warunkach atmosferycznych wyruszały także w pole żniwiarki ciągnięte końmi, które wirującymi malowniczo ramionami kładły skutecznie pokos na ziemi. Wiązanie i układanie snopów wykonywały ręcznie dziewczęta, plotąc na bieżąco powróśla. Po zakończonych żniwach następowała młóćka za pomocą młóczarki napędzanej archaiczną lokomobilą spalinową. Na ten czas sprowadzany był z sąsiedztwa specjalista,

niemieckiej narodowości, pan Müller, i pod jego nadzorem odbywała się tak ważna dla dworu końcowa faza satysfakcjonująca trud rolniczych zabiegów. Napęd na młocarnię był przenoszony z lokomobili za pomocą długiego, szerokiego pasa skórzanego, który często spadał lub się urywał. Lokomobila także okresowo odmawiała posłuszeństwa. W takim przypadku rymarz zabierał się na miejscu do działania, pan Müller zaś grzebał w lokomobili i za jakiś czas całość zaczęła działać na nowo. Michajło Łoza, pełniący rolę pierwszego polowego i prawa ręka wuja, wołał: *Dawaj, dawaj! Marszyna ide!* Młocarka wydawała charakterystyczne wycie, w momencie gdy sноп przedostawał się na wirujący bęben, które do dzisiaj budzi u mnie charakterystyczne skojarzenia, nawet te dla ucha.

Na terenie gumna znajdowała się jeszcze jedna charakterystyczna budowla, chyba najstarsza z tamtejszych. Był to murowany, grubościenny lamus, w którym przechowywano wymłócone ziarno. W jego piwnicy panował stale chłód i była przeto wykorzystywana jako magazyn łatwo psujących się produktów. Obiekt ten był dla mnie bardzo tajemniczy i nie budził mojej sympatii.

Do Kochanówki przybywali czasami z wizytą goście, a to wuj Stanisław Piotrowski z rodziną, szwagier cioci Eli. Swoją pracą był związany z majątkiem Sapiehów w Zapalowie, dosyć daleko na zachód od Krakowca. Przyjazd następował oczywiście powozem. Podobnie bywało także z wizytą wuja Feliksa Nowakowskiego, bratanka mego pradziadka, który był wtedy członkiem zarządu uzdrowiska Niemirów, na północ od Jaworowa. Wuj był ojcem znanego przed wojną aktora teatralnego i filmowego Zbyszka Sawana, którego żoną była także znana aktorka Maria Malicka. Wuj żył przed I wojną światową na carskiej Ukrainie, tak jak znaczna część mojej rodziny z tzw. linii warszawskiej. Wszyscy pracowali wówczas na odpowiedzialnych

stanowiskach w tamtejszych dobrach ziemskich wielkich posiadaczy.

W sąsiedztwie wuja mieszkała rodzina Jarosława Iwaszkiewicza, który w swych wspomnieniach opisuje wspólne zabawy ze Zbyszkiem. Wizyty w Kochanówce były jednodniowe i należy podziwiać sprawność fizyczną gości, którzy pokonywali pojazdami wielogodzinne przejazdy.

Były w Kochanówce także wizyty niespodziewane, które zapamiętałem ze względu na ich niezwykłość. Tak więc pewnego dnia zajechał przed dwór wspaniały samochód, z którego wysiadł grubiutki płk. Rudolf Kawiński. Był to dawny znajomy rodziców, aktualnie znajdujący się w okolicy, podczas podróży służbowej z ramienia DOK Przemysł. Przybycie jego wniosło wiele radości i humoru w spokojne, zwykłe życie dworu. Nikt z nas nie przypuszczał wtedy, że stosunkowo niedługo odwiedzi nas we Lwowie, na Kwiatkówce, już po porażającym wkroczeniu bolszewików do naszego miasta. Pojawił się wtedy w luźnym płaszczu wojskowym, bez pasa, pozbawionym oczywiście dystynkcji, oraz w komicznych saperkach; obraz nędzy i rozpacz. Prosił o doraźną pomoc, zanim podejmie dalsze decyzje. Jakie one były, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Można sobie jednak wyobrazić jego dalsze losy.

Inną niespodziewaną wizytą, a było to w sierpniu przed wybuchem wojny, była ta, która dosłownie spadła z nieba. Na pokrytym kretowiskami pastwisku wylądował w podskokach cywilny samolot RDW-8, a w ślad za nim spłynął dostojnie przepiękny szybowiec wyczynowy PWS-101 „Rekin”. Okazało się, że była to ekipa związana z lwowskim aeroklubem, a przymusowe lądowanie spowodował jakiś defekt silnika. Trudno sobie wyobrazić nasze zaskoczenie. Dla większości widzów, tych z dworu, była to pierwsza okazja zobaczenia płatowców na ziemi. Obaj piloci zostali przyjęci gościnnie we dworze, stanowiąc niemałą sensację. Po drobnej



naprawie silnika, w kilka godzin później nastąpił start szybowca na holu. Przez jakiś czas bieglem przy szybowcu, podtrzymując w poziomie jego wydłużone skrzydło, aż wreszcie nastąpiło szczęśliwe oderwanie od trudnego terenu i oba płatowce zniknęły, kierując się w stronę Lwowa. Przekonany jestem, że obaj piloci znaleźli się już po kilku dniach na placówkach przewidywanych planem mobilizacyjnym, zwłaszcza że jeden z nich, ten od RWD, był w mundurze wojkowego lotnika.

Ostatnie dni sierpnia spędziłem w Kochanówce, bez rodziców, którzy przygotowywali się we Lwowie na ewentualną wojnę, którą ojciec awizował stwierdzeniem, że trzeba „ostrzyć szabelkę”. Czynione zapasy miały wystarczyć na kilka dni, gdyż tak szybko miała się ona skończyć. Jaką inną stała się rzeczywistość i to już wkrótce.

Podczas wojny, z końcem września, przeszły przez Kochanówkę m.in. oddziały Nowogródzkiej Brygady Kawalerii pod wodzą gen. Andersa, w tym 25, 26 i 27 pułk kawalerii, usiłujące po bitwach pod Mińskiem Mazowieckim oraz Tomaszowem dołączyć do wycofujących się w stronę Lwowa resztek armii gen. Sosnkowskiego, a więc wtedy gdy Lwów był już w rękach bolszewików, stoczyły bitwę pod Broszkami, przekraczając szosę Jaworów–Krakowiec. Wzięto wtedy do niewoli ok. 50 jeńców niemieckich, z którymi nie było co zrobić.

Zbyszek Żurowski znalazł się z początkiem września, wraz z macierzystym 14 Pułkiem Ułanów Jazłowieckich w Podolskiej Brygadzie Kawalerii pod dowództwem płk. L. Strzeleckiego, w Wielkopolsce. Z innymi pułkami, które należały do Grupy Operacyjnej Kawalerii z gen. Romanem Abrahamem na czele, 14 Pułk Ułanów cofał się systematycznie od okolic Poznania w kierunku Warszawy, staczając szereg bitew oraz potyczek. Wraz z innymi związkami znalazł się w Grupie Armii „Poznań” oraz „Pomorze” z gen. T. Kutrzebą na czele. W sytuacji okrążenia po bitwie nad Bzurą padł rozkaz przebicia się do stolicy, w którym istotna rola przypadła 14. pułkowi. Zbyszek, już jako porucznik, został mianowany w międzyczasie dowódcą 2. szwadronu w miejsce rannego rotmistrza R. Dzierżanowskiego. Wraz z innymi szwadronami wziął udział w słynnej szarży pod Górką Węglową, w której zginęło ok. 100

ułanów i oficerów. Szarża otworzyła drogę do Warszawy, gdzie 28 września nastąpiła kapitulacja. W kampanii zginęło 9 oficerów tego pułku, w tym aż trzech spośród czterech dowódców szwadronów. Okres wojny przeżył Zbyszek w kilku obozach jenieckich, a po wyzwoleniu zdążył jeszcze włączyć się do armii gen. Andersa w Bolonii. Za postawę w kampanii wrześniowej został odznaczony orderem wojennym *Virtuti Militari* oraz Krzyżem Walecznych. Resztę życia spędził w bardzo trudnych warunkach w Londynie, gdzie zmarł w 1990 roku jako rotmistrz.

Wujostwo po wkroczeniu bolszewików zostali wysiedleni, dwór rozgrabiono. Przyjął ich do siebie były główny stangret dworski Mychajło. U niego przebywali kilka miesięcy, pozbawieni praktycznie środków materialnych. Podczas drugiej wywózki w 1940 r. zostali zesłani do Kazachstanu. Tam przebywali na stepie w obwodzie aktiubińskim, przy sowchozowym wypasie bydła. Wuj Ludwik zamarzył tam na stepie i został pochowany w niewiadomym miejscu. Ciocia Ela wraz z Zosią wróciły po wojnie do kraju i zamieszkały w Dusznikach. Zosia zmarła tam na skutek wycieńczenia i nabytej gruźlicy w 1951 roku. Ciocia wyjechała do Zbyszka do Londynu, gdzie zmarła w 1976 roku.

Tak to zakończyły się losy mieszkańców dworu w ukochanej przeze mnie Kochanówce.

* * *

Przed paroma laty odwiedziłem tamtejsze strony. We wsi dopytywałem się o kogoś najstarszego, by porozmawiać z kimś pamiętającym jeszcze czasy dworskie. Skierowano mnie do jednej z chat, a tam przedstawił mi się dwaj starcy jako synowie wspomnianego polowego Michajła Łozy: starszy z nich, także Michajło, drugi zaś Hrihoryj. Usiedliśmy na ławie pod stodołą i wtedy zaczęły się niekończące, obustronne wspomnienia. Ja, niezdamnym ruskim, który mimo kilku lat nauki w szkole powszechnej prawie całkiem zapomniałem i uzupełniałem rosyjskim. Oni mówili tylko po rusku, gdyż zapomnieli z kolei polski, który uzupełniali także rosyjskim. Pamiętali doskonale wszystko we dworze, wymieniali imiona poszczególnych ludzi, a nawet nazwy koni. Los wujostwa był im znany, a dopytywali się o Zbyszka i twierdzili, że się ze mną niegdyś bawili. Ja sobie tego nie przypomi-

nałem, ale to pewne, że szukałem wtedy do zabaw równych sobie wiekiem, a nie stanem, aczkolwiek dla tamtejszych byłem „panycz”. Wspominali z wdzięcznością, jak wuj Ludwik namawiał ich ojca podczas rozpadu dworu, by zabrał sobie ze dworu dwie krowy, zanim inni je rozkradną.

Kompletnym zaskoczeniem stało się, gdy jeden z nich zaśpiewał najpoprawniej językowo i melodycznie *Warczą karabiny i błyszczą pałasze*, a drugi *Ułani, ulani...* oraz kilka innych typowych przedwojennych piosenek. W oczach stanęły mi łzy wzruszenia w tej nadzwyczajnej sytuacji. Na moje dopytywanie, skąd je znają, zareagowali najpierw deklamując na przemian jakieś drobne wierszyki Konpnickiej i bodajże Lenartowicza. Na postawione pytanie oraz mój podziw dla ich umiejętności powiedzieli mi, że nauczył ich tego wszystkiego nauczyciel tamtejszej wiejskiej szkoły. Nie wiedziałem, kogo więcej podziwiać, ich jako uczniów czy nauczyciela w tej zapadłej wsi.

Na pożegnanie uściskaliśmy się wzajemnie, a ze względu na mój oraz ich wiek odczuwałem, że przeżywam wspólnie ostatnie pożegnanie czasów przedwojennych, Polski, matki wielu narodów.

Podczas odjazdu, w perspektywie pozabawionej lip drogi, nie ukazała mi się wtedy znajoma sylwetka dworu. Po prostu znikły jego wszelkie ślady, podobnie jak i wszystkich budynków gospodarczych. Z parku nie pozostało ani jedno drzewo. Pamiętając, że w jego stronę teren opadał od dworu swoistym przegięciem, mogłem sobie odtworzyć, gdzie kiedyś istniał. Cały ten teren zarosły trawka i chaszczce. Pozostały dwa, charakterystyczne stawy, nad którymi już nie szumiały topole.

Podawano mi wtedy w rozmowach mylne informacje dotyczące zniszczenia dworu. Twierdzono, że dwór spłonął w 1939 roku podczas działań wojennych, inni zaś twierdzili, że został zniszczony podczas odwrotu bolszewików. Fakt faktem, że zupełnie przestał istnieć. Niewiele pozostało także z późniejszych budynków tamtejszego kołchozu hodowlanego, które zostały rozebrane do ostatnich cegieł przez lokalnych mieszkańców. Z dawnych czasów pozostała cerkiew oraz cmentarz i poszczególne stare budynki we wsi. Dawne trakty piaszczyste są nadal jedynym połączeniem z okolicą, tylko teraz jeszcze szersze i bardziej rozjechane.

Wsi spokojna, jakże już inna!

Helena Żołnierzowa

WIELCY Z MAŁEJ MIEJSCOWOŚCI

Dziwny zbieg okoliczności skierował znów moją uwagę w daleką przeszłość i w moje rodzinne strony w Ziemi Lwowskiej. Zwrócił się do mnie mój krewny, urodzony już we Wrocławiu, którego rodzice wywodzą się z mojej rodzinnej miejscowości, z prośbą o wyjaśnienie. Był on niedawno w Nowej Rudzie i znalazł się w pobliżu kościoła na placu ks. doktora Michała Białowąsa. Zaintrygowało go to nazwisko, bo słyszał je nieraz w naszym domu. Mimo upływu lat często wspominamy nasze rodzinne strony i dawnych znajomych.

Moja rodzinna miejscowość Obydów, powiat Kamionka Strumiłkowa, ok. 40 km na

północ od Lwowa, miała 136 numerów, 730 mieszkańców – w tym 15 grekokatolików. Wieś wieńcówka – wokół domy, a w środku 360 morgów gminnego pastwiska – własność wspólnotowa. W środku wsi szkoła murowana z roku 1910, obok dom gminny ze sklepem. Przez środek pastwiska, obok szkoły, droga do miasta, 3–4 km. Pieszko było jeszcze bliżej, bo przez gminny las i wzdłuż torów kolejowych linii Lwów–Kamionka–Sokal, zbudowanej w 1910 r. Szkoła w Obydowie miała tylko 4 klasy, bardzo nieliczni kończyli siedem klas w Kamionce. Ale już wyjątkowo nieliczni uczęszczali do gimnazjum, a to ze względu na koszty. Taksa za semestr wynosiła 110 zł, to była równowartość pensji nauczyciela. W okresie międzywojennym w Polsce maturę zdawało około 13 500 osób rocznie. W PRL-u ponad 400 000, obecnie zaś 440 000. Liczba ludności podobna, różnice ogromne, ale też poziom maturzystów był dużo wyższy. ►

Mimo to, może ze względu na niedużą odległość od miasta, miał Obydów kilka osób po maturze, a także z wyższymi studiami. Prawie wszystkich pamiętam, bo w czasie wakacji bywali w rodzinnej wsi i często gościli w naszym domu. Z tych, których wymienię, nie znałam tylko ojca **Wenantego Katarzyńca** (1889–1921). Rodzice ojca Wenantego (to imię zakonne, imię na chrzcie Józef) oddali zdolnego i pracowitego syna do seminarium nauczycielskiego we Lwowie, bo gimnazjum w Kamionce powstało dopiero w roku 1909. Seminarium ukończył w 1908 r. Był bardzo pobożny i uduchowiony i po seminarium wstąpił do zakonu braci mniejszych franciszkanów. Już jako kapłan, po krótkiej pracy na parafii pod Lwowem, został wychowawcą i wykładowcą w zakonie franciszkanów. Zmarł na gruźlicę w wieku 32 lat *in odore sanctitatis*. Jest pochowany w Kalwarii Pałacowskiej pod Przemyślem.

Dr **Stanisław Smoliński** należał chyba do pierwszych absolwentów gimnazjum w Kamionce. Skończył weterynarię we Lwowie. Przed wojną był naczelnym lekarzem weterynarii na województwo tamopolskie. Okupację przetrwał we Lwowie, wtedy często bywał w rodzinnej wsi. Po wojnie pracował chyba na Śląsku. Major **Józef Jazienicki** kończył gimnazjum we Lwowie. Po maturze i służbie wojskowej z cenzurem podchorążego, jako poddany Austrii, brał udział w I wojnie światowej na froncie włoskim. Po roku 1918 po powrocie z frontu brał udział jako oficer w wojnie z bolszewikami w 1920 r. W wolnej Polsce służył w Toruniu, Modlinie, Rembertowie i Przemyślu. W II wojnie światowej dostał się do niewoli sowieckiej i podzielił los wszystkich polskich oficerów. Spoczywa w Charkowie. Te dane mam od syna Majora – Witka Jazienickiego, który z siostrą odwiedził cmentarz oficerów polskich w Charkowie.

Ks. dr **Michał Białowas**. Pracował jako katecheta gimnazjalny we Lwowie. W czasie okupacji sowieckiej mieszkał u swojego brata w Obydowie. Tu w kaplicy odprawiał msze. Ludzie byli zadowoleni, bo nie musieli chodzić do kościoła w Kamionce. A w lecie często widziało się księdza doktora z kosą na ramieniu, pomagał bratu w pracach polowych. W czasie okupacji niemieckiej był proboszczem w Kołomyi. Po wysiedleniu

mieszkał krótko w Jarosławiu, a po zakończeniu wojny osiadł w Nowej Rudzie i tu był proboszczem do końca życia. Tu został pochowany i jego imieniem miasto nazwało plac obok kościoła. Młodszy brat księdza Michała, **Kazimierz Białowas**, też był księdzem w powiecie trembowelskim. W 1943 roku UPA napadło na wieś, w której ksiądz pracował. Zginęło 15 osób. Polacy wyjechali wtedy do Polski centralnej, a po zakończeniu wojny ksiądz Kazimierz był proboszczem w Bardzie Śląskim. Tu zmarł i został pochowany. Z Obydowa pochodził też ks. **Zygmunt Białowas** – to dalszy kuzyn księży Michała i Kazimierza. Przed wojną był proboszczem w Trembowli. Po wysiedleniu krótko mieszkał w ochronce na przedmieściu Jarosławia i tu odprawiał msze w kaplicy. Tu osiedliło się wiele rodzin z Kamionki. Potem pracował gdzieś w Polsce centralnej.

Często w czasie wakacji odwiedzał nas też brat stryjeczny mojej matki, ks. dr **Michał Rękas**. Był znany jako założyciel Apostolstwa Chorych. W piątki po południu przemawiał do chorych w radiu Lwów. Ksiądz Michał urodził się w Łanach Polskich – to właściwie dalsze przedmieście Kamionki, sąsiadujące z Obydowem. W tym czasie nie było jeszcze elektryczności, radia słuchało się na tzw. kryształkach. Babcia zakładała sobie słuchawki, gdy w piątek mówił ks. Michał, a ja odwracałam jedną słuchawkę i tak słuchałyśmy razem. Ksiądz Michał Rękas pracował potem w Katowicach u ks. biskupa Adamskiego. Tu zmarł i został pochowany. Brat mojej matki **Karol Rękas** kończył gimnazjum w Kamionce i w latach 20. studiował w Wiedniu, bo tam studia były bezpłatne. W czasie wakacji spotykał się ze swoim kuzynem ks. Michałem w Obydowie lub Łanach.

W 20-leciu międzywojennym jedno gimnazjum w Kamionce obsługiwało cały powiat – także kilka miasteczek – Busk, Milatyn, Dobrotwór, Toporów. Obydów, ze względu na bliskość, wciąż miał kilka osób w gimnazjum, ale przeważnie chłopców. Dla chłopców była też bursa, którą prowadził katecheta gimnazjalny. Ja i moja siostra byłyśmy jedynymi dziewczynami z Obydowa w gimnazjum, ja zdążyłam zdać tam maturę, a siostra zdawała już w tajnym nauczaniu w czasie okupacji niemieckiej. Bracia kształcili się już po wysiedleniu.



Muzeum
Niepodległości
uhonorowane



Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
Redakcja CRACOVIA–LEOPOLIS
Szanowny Pan Redaktor Naczelny
Andrzej Chlipalski, Kraków

Szanowny Panie Redaktorze,
serdecznie dziękuję za dotychczasową owocną współpracę z Muzeum Niepodległości w Warszawie, za przekazane do zbiorów lwowskie i inne kresowe pamiątki.
W załączeniu przesyłam reprodukcje dyplomu i srebrnego medalu Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, przyznanego Muzeum Niepodległości w Warszawie „w uznaniu szczególnego wkładu w dzieło popularyzacji historii i kultury Kresów Wschodnich”, z datą 7 czerwca 2010 roku. Do uhonorowania nas z pewnością przyczynili się też Kresowianie swoim współdziałaniem z nami, a wśród nich Wasze Towarzystwo, Redakcja i Pan Redaktor, i za to jeszcze raz pięknie dziękuję.

Łączę wyrazy szacunku,
dyrektor dr Tadeusz Skoczek

SYLWETKI

RZEŹBIARZ LEONARD MARCONI MIĘDZY WARSZAWĄ, LWOWEM I KRAKOWEM

Nie ulega wątpliwości, że w najdawniejszym okresie swego istnienia – w średniowieczu i później – Lwów wiele zawdzięczał Krakowowi. Kraków był starszy, był stolicą nie tylko kraju, ale i jego południowego regionu, do którego w XVI w. dołączono dawne Grody Czerwieńskie, odzyskane w XIV w. po niemal trzech i pół wiekach zaboru ruskiego, i objęto wspólną nazwą Małopolski, dodając przymiotnik Wschodniej.

Nadszedł jednak taki czas, że Kraków – po odebraniu mu stołeczności – podupadł, a Lwów, dzięki międzynarodowemu handlowi, wspaniałym glebom i innym jeszcze zaletom wzbogacił się i rozwinął niebywale. To wszystko, a także korzystne położenie w obrębie zajętego w zaborach kraju nazwanego Galicją sprawiło, iż Lwów, a nie Kraków stał się jej stolicą na lat sto parędziesiąt. W dziedzinie kultury role obu miast wyrównały się: Krakowa dzięki tradycji, Lwowa dzięki warunkom i prężności. Od tego więc czasu Lwów świadczył Krakowowi tyleż, co kiedyś Kraków Lwowowi.

Tyle tytułem wstępu. Chcemy przedstawić Czytelnikom mały epizod tej lwowsko-krakowskiej współpracy. Przeczytaliśmy o tym w krakowskim „Dzienniku Polskim” z 13 marca '10, autorem artykułu *Kościuszcze w hołdzie* jest J. Rogoż.

W stulecie pamiętnej przysięgi Kościuszki na krakowskim Rynku (1794) mieszkańcy miasta podjęli uchwałę postawienia mu pomnika. Nie było pierwotnie koncepcji, gdzie miałyby on stać; pomysły były różne: na Rynku, na Błoniach – ale pracę zlecono profesorowi lwowskiej Szkoły Politechnicznej, Leonardowi Marconiemu (1835–1899), urodzonemu w Warszawie z ojca Włocha-rzeźbiarza i matki Polki. Rzeźby uczył się zrazu o swego ojca Ferrantego, potem studiował w Warszawie i Rzymie.

W latach 1862–74 działał w Warszawie, a w 1874 r. przeniósł się do Lwowa i tam przebywał do śmierci.

Pomnik konny T. Kościuszki był jednym z wielu dzieł, jakie Marconi podjął we Lwowie. Niestety nie dokończył go przed śmiercią, ale jego dzieło doprowadził do końca inny lwowski znany rzeźbiarz, Antoni Popiel (twórca m.in. lwowskiego pomnika Adama Mickiewicza). Trzeba dodać, że obaj rzeźbiarze wykonali pomnik dla Krakowa za darmo, ponieważ komitet krakowski nie znalazł na to pieniędzy...

Po ukończeniu rzeźby nie było również w Krakowie pieniędzy na realizację pomnika, nadal kłócono się o jego lokalizację. Potem wybuchła I wojna światowa, rzeźbie groziło nawet złomowanie (!). Wreszcie w r. 1924 (!) zdecydowano się postawić Kościuszkę na bastionie wawelskim i od tego czasu stanowi on chlubę Krakowa.

Tylko już nikt nie pamięta, że to dzieło lwowskie.



Nagrobek L. Marconiego
na Cmentarzu Łyczakowskim

PROFESOR BOCHENEK

W kwartalniku „Magazyn Otolaryngologiczny” 4/2005 w dziale *Tworzyli polską laryngologię* natrafiliśmy na wspomnienie (autor prof. G. Janczewski) o znakomitym lekarzu, prof. Zbigniewie Bochenku (1923–1977).



Urodził się we Lwowie w rodzinie nauczycielskiej. Dyplom lekarski uzyskał po II wojnie na UJ w Krakowie (można się więc domyślać, że studia medyczne rozpoczął na UJK we Lwowie), ale zaraz po rocznym stażu związał się z Kliniką Otolaryngologiczną w Warszawie. Po 4-letniej służbie wojskowej i kilku stypendiach zagranicznych (Londyn, Sztokholm) zorganizował pierwszą w Polsce pracownię badań *narządu przedśionkowego (vestibulologia)*. W 1963 r. został docentem, a w 1969 r. otrzymał nominację na profesora i objął kierownictwo Kliniki Otolaryngologicznej AM w Warszawie.

W ciągu kolejnych lat pracy dokonał wielu pionierskich działań w takich specjalnościach laryngologicznych jak otoneurologia, audiologia, chirurgia otologiczna (m.in. przeszczepy błony bębenkowej), otoneurochirurgia, chirurgia raka głowy i szyi.

Profesor Z. Bochenek należał do czołówki światowych otolaryngologów. Zmarł w Warszawie i spoczął na Cmentarzu Powązkowskim.

* Leonard Marconi jest – poza Warszawą – autorem następujących dzieł we Lwowie i Małopolsce Wschodniej: projekt pomnika Zofii Chrzanowskiej w Trembowli (1878), restauracja kaplicy zamkowej w Brzeżanach, pomnik Jana III na rynku w Brzeżanach, ołtarz alabastrowy w kaplicy w pałacu w Raju, urządzenie sali bibliotecznej w gmachu Szkoły Politechnicznej we Lwowie, wnętrza gmachów we Lwowie: Sejmu, Dyrekcji Kolei Państwowych, Pałacu Sprawiedliwości, Kasy Oszczędności, Muzeum Przemysłu, dekoracja hotelu George’a. Ponadto liczne popiersia i medaliony, figurki itd. (informacje wg PSB, zeszyt 83, 1974).

W Krakowie i dalej

ZMARŁ O. JOACHIM BADENI

W marcu zmarł w Krakowie ojciec Joachim (prywatnie Kazimierz Stanisław) Badeni, dominikanin, intelektualista, autor książek. Miał lat 98, urodził się w Brukseli.

Ojcem o. Joachima był hr. Ludwik Badeni h. Bończa, syn Kazimierza, premiera Austro-Węgier, i bratanek Stanisława, marszałka krajowego Galicji. Matką o. Joachima była arystokratka szwedzka, Alicja Ancarkrona, która po przyjeździe do Polski przeszła z protestantyzmu na katolicyzm oraz stała się wybitną patriotką polską, a język polski przyjęła jako swój. Rezydencją tej linii Badenich był Busk nad Bugiem (tam, gdzie Pełtew wpada do Bugu)*.

Ludwik Badeni umarł, gdy jego syn – przyszyły o. Joachim miał 4 lata. Po kilku latach wdowa wyszła powtórnie za mąż za arcyksięcia Karola Olbrachta Habsburga z Żywca i tam wraz z synkiem się przeniósł. Z czasem – ona, Szwedka z urodzenia – dokonała pełnej polonizacji żywieckich Habsburgów, bocznej linii cesarzy austriackich. Sama w czasie II wojny światowej była żołnierzem AK. Fakty te spowodowały zresztą fatalne skutki dla rodziny – prześladowanie przez Niemców. Równocześnie sowieci zniszczyli nawet groby rodzinne Badenich, a szczątki zmarłych wrzucili do Bugu.

Kazimierz Badeni, przyszyły dominikanin, ukończył prawo na UJ, a w chwili wybuchu II wojny wstąpił na Pokucie do Wojska Polskiego. Ewaku-



owany wraz z wojskiem do Rumunii, dostał się do Francji, walczył pod Narwikiem. W Anglii spotkał o. Innocentego Bocheńskiego, a rozmowy z nim doprowadziły go w 1944 r. do wstąpienia do zakonu. Nowicjat odbył w Anglii. Do Polski wrócił w roku 1947, tu ukończył studia teologiczne i otrzymał święcenia.

W ciągu kolejnych kilkudziesięciu lat o. Joachim przebywał w kilku miejscach: w Poznaniu, Wrocławiu, Krakowie. Okazał się wybitnym kaznodzieją, udzielał się w duszpasterstwie akademickim, napisał kilka książek poświęconych małżeństwu, śmierci, kapłaństwu, modlitwie.

* Wszystkie gałęzie rodu Badenich były osiadłe w Małopolsce Wschodniej: w Radziechowie, Busku, Koropcu.

Z kroniki żałobnej

➔ W Krakowie zmarł przedwcześnie dr Antoni Weysenhoff, znakomity pedagog, działacz społeczny, a przede wszystkim harcmistrz. W ciągu kilkudziesięciu lat działał w harcerstwie, oddany bez reszty młodzieży. Przez 30 lat był dyrektorem Centrum Młodzieży w Krakowie, organizatorem niezliczonych imprez, których celem była nie tylko rozrywka i przygoda, ale przede wszystkim krzewienie ideałów, oddawanie czci tradycji, patriotyzm.

Szczególnym dziełem dra Weysenhoffa były coroczne spotkania w Krakowie z polską młodzieżą zza wschodniego kordonu, które Centrum Młodzieży organizowało pod tytułem **Potrzeby kulturalne dzieci polskich na Wschodzie**. Jego niezastąpioną współpracownicą w tym dziele była Irena Jasicka (rodem z Brześcia n. Bugiem, bliska

krewna Elizy Orzeszkowej, patrz CL 3/06), także przedwcześnie zmarła. Owe wakacyjne przyjazdy młodych Polaków wtedy ustały, ale dr Weysenhoff ciągle nosił się z myślą ich przywrócenia. Dał temu wyraz niedawno w rozmowie, proponując współpracę CM z krakowskim TMLiKPW. Czy znajdą się następcy?

➔ W pierwszych dniach maja br. zmarł w Krakowie w wieku 87 lat redaktor Władysław Cybulski, nestor dziennikarstwa polskiego. **Urodził się we Lwowie, tam spędził kilkanaście pierwszych lat życia, które człowieka kształtują.**

Pod koniec wojny rodzina musiała opuścić Lwów i po krótkich pobytach w paru miastach osiadła w 1944 r. w Krakowie. Tu przyszły redaktor zdał maturę i rozpoczął studia historii sztuki. W 1956 r. związał się na całe życie z „Dziennikiem Polskim”, ale – na dłużej lub krócej – z innymi gazetami i tygodnikami krajowymi, a także – przed laty – z radiem. W pewnym okresie był zastępcą redaktora naczelnego „Dziennika”.

Pracował dosłownie do ostatnich dni życia. Był przede wszystkim krytykiem filmowym, ale interesował go również teatr, estrada, życie kulturalne. Od Fundacji Kultury Polskiej otrzymał *Złoty Laur za Mistrzostwo w sztuce słowa*. Uważano go za wzór dziennikarskiej sumiennosci, doceniano encyklopedyczną wręcz wiedzę.

Koledzy redaktorzy zamieścili w ich wspólnym macierzystym piśmie (z 7 maja '10) ciekawe i serdeczne wspomnienia o Zmarłym.

➔ W Londynie zmarł Mieczysław Hampel, wieloletni prezes Koła Lwowian w Wielkiej Brytanii. O Zmarłym napiszemy szerzej po otrzymaniu bliższych danych.

Na zdjęciu M. Hampel wśród członków zarządu Koła Lwowian. Siedzi pośrodku.



Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Ukazał się kolejny, IX tom Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie pt. **Kraków–Lwów, książki-czasopisma-biblioteki w XIX i XX wieku**. Tom przygotowały redakcyjnie (w 2 częściach) **Halina Kosętka, Barbara Góra i Ewa Wójcik** (Kraków 2009). W obu częściach znalazły się łącznie 62 referaty, w tym 7 ukraińskich, 1 z Niemiec, pozostałe 54 z 33 ośrodków krajowych.

Referaty te zostały wygłoszone podczas IX Międzynarodowej Konferencji Naukowej pod tym samym tytułem – w listopadzie 2007 r. w krakowskiej Akademii Pedagogicznej (zmiana nazwy uczelni na *Uniwersytet Pedagogiczny* nastąpiła później). Konferencje takie odbywają się co dwa lata, kolejna X miała miejsce w roku 2009.

Tak jak przy omawianiu poprzednich tomów z konferencji zadaliśmy sobie trud policzenia, jak ułożyła się proporcja tematów w odniesieniu do Krakowa i do Lwowa lub do obu jednocześnie. Oto wynik: problematyki lwowska i krakowska idą *feb w feb* – po 28 referatów, lwowsko-krakowskich czy ogólnopolskich jest 6.

Okazuje się, że zainteresowanie Lwowem nie słabnie, nawet jeśli brać pod uwagę, że 7 referatów napisali Ukraińcy. Z najciekawszych lwowskich tytułów wynotowaliśmy:

Lwowski rynek wydawniczy w pierwszych latach autonomii galicyjskiej (1861–1870) (M. Konopka); *„Mól książkowy” – Mojżesz Hersz Rubin, antykwariusz lwowski* (E. Wójcik); *Książka żeglarska we Lwowie w okresie międzywojennym* (A. Ruta); *Maria (Maruta) Stobiecka. Krakowskie losy lwowskiej poetki* (J.S. Ossowski); *Pasja bibliofilka Heleny Dąbcańskiej* (Irena Gruchała); *Lwowskie czasopisma studenckie w dobie autonomii* (G. Gzella); *Czasopisma literackie i społeczno-kulturalne we Lwowie w dwudziestoleciu międzywojennym* (J. Jarowiecki); *Proza arty-*

styczna na łamach wybranych gazet lwowskich w latach 1918–1926 (O.S. Czarnik); *„Łapać życie za skrzydła”. Dzieje czasopisma młodzieży akademickiej Politechniki Lwowskiej w okresie II Rzeczypospolitej* (R. Samotyj); *„Gawędy lwowskie” w polskich czasopiśmie emigracyjnych* (J. Chwastyk-Kowalczyk).

📖 Ukazał się ogromny, niezwykle ważny i arcyciekawy tom: **Wyrwać i przetrwać, jak Bóg daje**, z podtytułem: *Świadkowie Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie sowieckiej 1917–1991* (Wydawnictwo „Unum”, Kraków 2010). Księga ta, wydana pod redakcją naukową **ks. prof. Józefa Wołczańskiego**, wpisuje się w *Bibliotekę Historyczną Archiwum Metropolii Lwowskiej obrz. łac.* w Krakowie, seria A: *Źródła i materiały*, pod redakcją ks. prof. J. Wołczańskiego, jako tom 11.

Autorami 14 artykułów w tomie są ks. J. Wołczański, o. Rafał Kiernicki (późniejszy biskup), Adolf Wisłowski i inni.

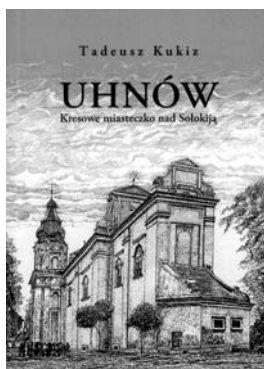
Najszerzej opracowanym tematem (bo kolejno w trzech artykułach różnych autorów) jest postać ks. bpa Jana Cieńskiego (1905–1992), proboszcza złoczowskiego, z którym związane wydarzenie było parokrotnie wspomniane zarówno w naszym kwartalniku, jak i w innych pismach, tu jednak otrzymujemy szerokie i wielostronne omówienie.

Warto przypomnieć, że w republice ukraińskiej ZSRR nie było od II wojny żadnego biskupa, co w sposób istotny utrudniało względnie normalne działanie Kościoła, a w pewnych wypadkach wręcz je uniemożliwiało. Kontakty kościelne ze stroną polską (PRL) ani Rzymem nie były możliwe. Władze kościelne uznały konieczność częściowego bodaj rozwiązania problemu: zaaranżowano więc prywatny przyjazd ks. Jana do Krakowa (gdzie mieszkała jego najbliższa rodzina, ekspatriowana z Pieniak k. Brodów), a stąd w tajemnicy przewieziono go do Gnieszna. Tam, z upoważnienia Papieża, ks. kardynał Wyszyński w pełnej konspiracji udzielił ks. Cieńskiemu sakry biskupiej. Sprawa została ujawniona dopiero po upadku komunizmu w ZSRR.



Dalszymi tematami w księdze są wspomnienia o. Rafała Kiernickiego, spisane na podstawie rozmów z nim. Był przez sowie-
tów więziony i zesłany do łagrow, jednak po
powrocie – mimo nieustannego prześlado-
wania – pełnił funkcję proboszcza katedry
lwowskiej, został biskupem.

Dalsze teksty to relacje i wspomnie-
nia o księżach i siostrach represjonowa-
nych i zesłanych na Sybir, o działalności
duszpasterskiej na Ukrainie i we Lwowie,
a wreszcie wspomnienia Adolfa Wisłowskie-
go o ratowaniu kościoła św. Antoniego na
Łyczakowie.



Dr Tadeusz Kukiz

kontynuuje drugą już serię swoich prac historycznych. To dobra zasada: temat zostaje opracowany w pełni. Pierwsza seria dotyczyła Madonn „kresowych” – dostaliśmy sześć książek z wnikliwym omówieniem cech i wartości owych dzieł sztuki, które zdobiły duchowo i artystycz-

nie nasze wschodniomałopolskie i wołyńskie świątynie; z drugiej zaś strony poznaliśmy dokumentację losów tych obrazów po II wojnie światowej. Książki owe stały się więc niejako drogowskazem dla badaczy i turystów, ale przede wszystkim dla pielgrzymów, szukających drogi do utraconych świętości własnego dzieciństwa i pamięci swoich ojców.

Druga seria jest z pozoru całkiem inna, ale odnajdujemy tu podobne motywy: przeszłość i „nasze strony”. Autor przy okazji dokumentowania dziejów własnej rodziny bada miejsca, historię, losy społeczności – z całym bagażem wydarzeń, spraw i ludzi.

Wcześniej powstały już dwie takie książki (obie omawialiśmy): *Łopatyn. Dzieje i zabytki* (2004) oraz *Ziemia Radziechowska i ludzie stamtąd* (2008), opisujące strony rodzinne matki. Teraz dostajemy trzecią: ***Uhnów. Kresowe miasteczko nad Sołokiją*** (skąd pochodził ojciec), Wrocław 2010. Przypomnijmy, gdzie leży: na północ od Lwowa, w trójkącie, który geograficznie wyznaczają: Tomaszów Lubelski, Sokal i Rawa Ruska.


Zapowiadana jest czwarta książka: *Kukizów, miasteczko koło Lwowa*; stamtąd zapewne wywodzi się ród Kukizów.

Autor ujął materiał w sześciu głównych rozdziałach i kilku uzupełniających. Te pierwsze to: *Dzieje Uhnowa; Parafia rzymskokatolicka i kościół; Parafia greckokatolicka i cerkiew; Uhnowskie szkoły; Uhnowskie cmentarze, pomniki, kapliczki; Niektóre uhnowskie rodziny XX wieku*.

Powyższe rozdziały, dotyczące samego Uhnowa, uzupełnia siódmy, który dotyczy całego rejonu, objętego tzw. akcją HT-51*. Dzięki książce Kukiza niezorientowany dotąd czytelnik otrzymuje jedyne wyjaśnienie sprawy sprzed lat niemal sześćdziesięciu, a dotyczącej cynicznego posunięcia władz sowieckich, które po paru latach nowej sytuacji geopolitycznej zorientowały się w pewnych „brakach”, na które – na swoją niekorzyść – zgodziły się w 1945 roku: 1. granicę w tym rejonie wytyczono na rzece Sołokii, pozostawiając linię kolejową z Sokala do Rawy Ruskiej po stronie polskiej; 2. obszar w rejonie miejscowości Uhnów, Betz, Krystynopol, Sokal-Zabuże, Waręż, obfitujący w złoża węgla kamiennego, również pozostał po stronie polskiej. Akcja HT-51 polegała więc na wymianie ww. rejonu na rejon Ustrzyk Dolnych w Bieszczadach, co wiązało się z kolejnym dramatem przeniesienia tam ludności polskiej. To zresztą nie wszystkie problemy, może uda się do nich wrócić.

Kolejne dwa rozdziały książki dotyczą losów i wyposażenia uhnowskiego kościoła po 1951 r. oraz utworzenia w 1991 r. Związku Wyszędzonych HT-51.

* Akcja dotyczyła powiatów Hrubieszów i Tomaszów Lub., rok 1951.

 W numerze CL 1/09 na str. 70–71 zamieściliśmy listę kilku książek, które powinni poznać – by być w zgodzie z prawdą – potencjalni autorzy piszący o najdawniejszych czasach naszych utraconych ziem południowo-wschodnich. Obecnie od p. Adolfa Zabuskiego, buszczanina (z Buska nad Bugiem) zamieszkałego we Wrocławiu, otrzymaliśmy kolejną pozycję: ***Południowo-wschodnie Kresy Polski w X i XI wieku***, napisaną przez **Józefa Widajewicza** (wyd. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań 1937, reprint Warszawa 2003). Po zapozna-

niu się z opracowaniem zauważamy, iż wielu spośród autorów ww. książek opierało się właśnie na pracy prof. Widajewicza. Warto, by niektóre ustępy z niej przedrukować w naszym kwartalniku.

Panu Adolfowi, naszemu Czytelnikowi i Przyjacielowi, serdecznie dziękujemy.

JÓZEF WIDAJEWICZ, ur. 1889 w Buszcu, pow. brzeżański, zm. 1954 w Krakowie. Historyk, od 1937 profesor uniwersytetu poznańskiego, od 1945 UJ. Specjalizował się w najdawniejszych dziejach Polski.

📖 Wyszedł ogromnie ciekawy album pt. **Przedwojenne Kresy. Najpiękniejsze fotografie**. Wyboru dokonała **Maria Dobrowolska-Kierył**. Wydawnictwo widzieliśmy tylko przelotnie, więc jedynie zainteresowanym Czytelnikom sygnalizujemy, a bardziej szczegółowe omówienie będzie możliwe dopiero po dokładnym zapoznaniu się z nim.

📖 Tematem poniższego omówienia są cztery (tyle posiadamy) książeczki wydane przed kilkunastu laty przez Klub Złoczowski* w Krakowie – jako *Biblioteka Złoczowska*.

■ **M. Szyska, A. Drobieńko, W. Gniewek-Węgrzyn: Księga Pamiątkowa Gimnazjum Złoczowskiego**, 1992.

■ **R. Maćkówka** (red. wydania): *Szkice historyczne*, 1996. Tomik obejmuje 9 artykułów poświęconych dziejom Ziemi Złoczowskiej: Aurelia Kogus, Janina Prokopowicz: *Ziemia Złoczowska w pradziejach na podstawie badań archeologicznych do 1939 r.*; Juliusz Mękicki: *Znaleziska archeologiczne na Pleśniaku*; Jerzy Wyrozumski: *Włączenie Rusi do Polski przez Kazimierza Wielkiego oraz Początki organizacji Kościoła katolickiego na Rusi Halicko-Włodzimierskiej*; Danuta Quirini-Popławska: *Początki Złoczowa (XV–XVI w.)*; Stanisław Z. Guga: *Żółkiew a Złoczów*; Lech Antonowicz: *Granica wschodnia Polski ze stanowiska prawa międzynarodowego*; Ryszard Kotarba: *Zbrodnie sowieckie na Ziemi Złoczowskiej w latach 1939–1945*; Władysław Konarski: *Zagłada Huty Pieniackiej*.

■ **R. Maćkówka, M. Szyska** (red. wydania): *Zeszyty Złoczowskie*, 1996. W tomiku znalazły się krótkie teksty ujęte w trzech działach: *Historia, Kultura, Biografie*. Zapoczątkowano *Słownik geograficzno-historyczny*.

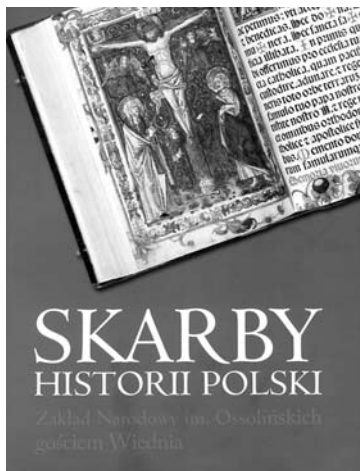
■ **Zbigniew Krotochwil: Złoczów, ulica Glińska**, 1996. Pamiętnik.

■ **R. Maćkówka** (red. wydania): *Powroty na Kresy*, 1999. Wspomnienia uczestników wycieczek.

* Klub Złoczowski (pierwotnie, krótko, jako Koło Złoczowian, zorganizowane w krakowskim oddziale TMLiKPW) zawiązał się w r. 1990, przybierając nazwę Światowe Stowarzyszenie Rodzin i Przyjaciół Ziemi Złoczowskiej „Klub Złoczowski”. Jego prezesem był od początku p. Roman Maćkówka. Klub działał zrazu bardzo efektywnie, pozyskano wielu członków spośród expatriantów z całego kraju oraz emigrantów z zagranicy, a także szereg osób spoza środowiska złoczowskiego. Urządzano wycieczki (nie tylko do Złoczowa), zapraszano krakowskich artystów na występy w Złoczowie. Wszczęto wydawanie „Biuletynu” poświęconego szerokiej tematyce Złoczowa i jego okolic (powiatu), a także problematyce związanej z życiem Polaków za jałtańskim kordonem. Wydano kilka tomików jako „Biblioteka Złoczowska”. Klub Złoczowski ostatnio uległ rozwiązaniu.

📖 W ubiegłym (2009) roku miała miejsce w stolicy Austrii wystawa zbiorów Ossolineum, mieszczącego się dziś we Wrocławiu. Wystawa nosiła tytuł: **Skarby historii Polski. Zakład Narodowy im. Ossolińskich gościem Wiednia**. Taki sam też tytuł ma wydany z tej okazji piękny i ciekawy album. Organizatorami wystawy były ZN im. Ossolińskich i Austriacka Biblioteka Narodowa, ale swój udział miała (z konieczności?!) tzw. Lwowska Naukowa Biblioteka im. V. Stefanyka NAN Ukrainy.

Album obejmuje ok. 170 fotografii eksponatów, nie wiemy jednak – nigdzie tego



nie napisano – czy na wystawie pokazano ich tyle czy więcej. Układają się one w dwóch grupach: obrazy, grafiki, dokumenty, listy, stare fotografie, medale – zawsze związane z postaciami lub wydarzeniami historycznymi. Druga grupa to przedmioty artystyczne: oprawy ksiąg, broń, przedmioty użytkowe itd.

Część ilustracyjna została poprzedzona kilkoma tekstami, z których najważniejsze to: Jerzy Zdrada: *Miejsce i rola Ossolineum w życiu politycznym i kulturalnym pod zaborem*; Elżbieta Dzikowska: *Genius loci. Ossolineum jako miejsce polskiej pamięci narodowej*; Eva Huttli-Hubert: *Wiedeńskie lata hrabiego Józefa Maksymiliana z Tenczyna Ossolińskiego*; Małgorzata Orzeł: *Losy Zakładu Narodowego im. Ossolińskich odbiciem historii Polaków od XIX do XXI wieku*.

W żadnym referacie nie wspomniano słowem, że to, co znalazło się po wojnie we Wrocławiu, to tylko część zbiorów ossolińskich, resztę sowieli, a po nich Ukraińcy zatrzymali we Lwowie. Do jakiegoś czasu ten nasz skarb narodowy nadzorował po kryjomu (do swej śmierci w r. 1984) Mieczysław Gębarowicz, ale i tak podobno wiele zginęło. Obecnie dyrekcja wrocławskiego Ossolineum doszła do ugody z administracją we Lwowie, że pozostałe tam materiały będą kopiowane. Do chwili obecnej zeskanowano na płytach DVD (w dwóch egzemplarzach – dla Wrocławia i dla Lwowa – na koszt Polski oczywiście) ponad 2,5 miliona jednostek. Warto zaznaczyć, że obecnie zbiory Ossolineum we Wrocławiu liczą ok. 1 900 000 jednostek, w tym materiały otrzymane i nabyte po wojnie.

Na wystawie pokazano jakąś liczbę eksponatów „wypożyczonych” przez administrację lwowskich zbiorów ossolińskich.

Na zakończenie warto przypomnieć, że Józef Maksymilian Ossoliński (1748–1826) osiadł w Wiedniu w r. 1793 i niebawem rozpoczął kolekcjonowanie biblioteki i polskich pamiątek przeszłości, które znalazły się z różnych przyczyn poza krajem. Z czasem postanowił ofiarować swój zbiór Lwowowi. W 1817 r. cesarz Franciszek I zatwierdził dokument fundacyjny Zakładu, i w tym samym roku zakupił Ossoliński zrujnowane budynki skasowanego przez Austriaków klasztoru i kościoła karmelitanek trzewickowych – pod górą, gdzie w przyszłości miała powstać cytadela. Po odbudowie ruin, w r. 1827 zbiory zostały przewiezione z Wiednia do Lwowa.

📖 Od p. Bogusława Rogowskiego, zamieszkałego na Śląsku Opolskim, otrzymaliśmy wiadomość o ukazaniu się 870-stronicowej książki pt. **Budzanów**, autorstwa **Józefa Ziemskiego**, a wydanej przezeń własnym kosztem. Pan Bogusław, emerytowany dziennikarz, miał – jak pisze nam – spory udział w redakcji i wydaniu tej książki. Najwięcej pisze się tam o ludziach, o rodzinach (z genealogiami), o uczestnikach i ofiarach II wojny, o dawnym życiu społecznym i kulturalnym, a wreszcie o czasie współczesnym i odzyskaniu kościoła.

Budzanów to miasteczko leżące w powiecie trembowelskim (wojew. tarnopolskie), nad Sereciem. Niestety dotychczas nie zamieściliśmy tego hasła w naszym *Słowniku*.

📖 **Bronisław Szeremeta** opublikował w 2000 r. we Wrocławiu niewielką książkę pt. **Watażka – jego zbrodnie i zakłamanie wspomnienia**. Autor pochodzi z miejscowości Adamy koło Buska z przedwojennego powiatu Kamionka Strumiłowa. Był bezpośrednim i pośrednim świadkiem zbrodni popełnionych przez Dymitra Kupiaka i jego bandę UPA w rejonie Buska. Banda, jako bojówka SB, grasowała w okresie 1943–1945 (a więc za czasów niemieckich i sowieckich), ciesząc się najgorszą sławą. Budziła grozę nie tylko u Polaków, ale u wszystkich mieszkańców rejonu.

Bezpośrednim impulsem do napisania i wydania przez Bronisława Szeremetę pracy było wydanie w 1991 r. w Toronto wspomnień Dymitra Kupiaka pt. *Społady nierozstrzelanego* (Wspomnienia nierozstrzelanego), w których Kupiak przedstawił siebie jako nieskazitelnego herosa Ukrainy i bojownika o wolność. To oczywiście kłamstwo zmusiło autora do szukania dowodów zbrodni. Dotarł do książki pt. *Rozpłata* (Rozrachunek) wydanej we Lwowie w 1970 r., w której zawarte są relacje z procesu sądowego w Krasnem koło Lwowa z listopada i grudnia 1969 r. Sądzonych wtedy było pięciu członków



bandy Kupiaka, których sowiecki wymiar sprawiedliwości zdołał osiągnąć.

W zeznaniach oskarżonych i świadków podane są daty napadów, miejscowości, nazwiska osób okrutnie zamordowanych i okoliczności ich śmierci. Wszystkie napady połączone były z rabunkiem mienia. Relacji jest kilkadziesiąt, a liczbę zamordowanych oceniono na około 200. Sąd sowiecki interesował się głównie zbrodniami na obywatelach sowieckich, ale przy okazji ujawnione zostały szczegóły zbrodni na Polakach. Kupiak, stojący na czele dwudziestoosobowego oddziału, był najokrutniejszym bandytą mordującym osobiście. W październiku 1945 r. z cudzymi dokumentami na nazwisko Władysław Brodziak – ekspatriant – wyjechał ze Lwowa do Polski, a w maju 1946 r. przez Czechosłowację i Niemcy uciekł, bojąc się rozpoznania, do Kanady. Osiedlił się w Toronto, gdzie za zagrabione i wywiezione kosztowności przez ponad pół wieku wiódł dostatnie życie biznesmena. Już po wydaniu omawianej książki nadeszła wiadomość, że Kupiak popełnił samobójstwo przez powieszenie.

Przypadek Kupiaka i jego ucieczki do Kanady jest klasycznym przykładem tego, jak zbrodniarze ukraińscy spod znaku UPA uniknęli kary za mordowanie Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Na końcu książki, jako aneks, zamieszczony jest artykuł Wiktora Poliszczuka dotyczący starcia historyków polskich i ukraińskich na spotkaniu naukowym w Montrealu w 1995 r. (DTS)

📖 Na stoisku antykwarycznym znaleziona została niewielka książka wydana w Londynie w 1989 r., a napisana przez **Mariana Helm-Pirgo** pt. **Zew Lwowa**. Autor był przed II wojną światową członkiem zarządu Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa. Aresztowany po zajęciu Lwowa przez Związek Sowiecki spędził kilka miesięcy w więzieniach oraz kilkanaście miesięcy w łdziel – łagrze na Uralu. Dlatego książka pisana jest zarówno przez fachowca znającego Lwów, jak i człowieka doświadczonego przez represje polityczne.

Pierwsza połowa publikacji to tekst wykładu wygłoszonego przez autora w USA w listopadzie 1989 r. w Nowym Jorku w rocznicę obrony Lwowa. Drugą połowę stanowią

ilustracje: szkice i fotografie obiektów lwowskich oraz dodatkowo zachowane rysunki wykonane w łagrze.

Tekst w zwężonej formie zawiera dzieje Lwowa od Kazimierza Wielkiego do czasów współczesnych. Autor wykazuje nie tylko znajomość miasta, ale też ogromne zaangażowanie emocjonalne. Do ciekawostek zaliczyć można informację o niezrealizowanym pomysle przywrócenia Lwowowi hejnału.

Wykład wygłoszony w USA w 1989 r. zawiera odniesienia do interwencji na polecenie Moskwy wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji i stłumienia „praskiej wiosny”. Pod wpływem tej wiadomości odżywa w nim ból związany z utratą Lwowa i wkroczeniem wojsk sowieckich do Lwowa. Mimo to wciąż wierzy w niezniszczalność pragnienia wolności. Napisał: „... pragnienie to jest tym większe, im większy jest ucisk i im większe są dokonywane nieprawości”. Na szczęście w naszym kraju mamy to już częściowo za sobą. (DTS)

📖 Osoba Sługi Bożego księdza Władysława Bukowińskiego (1904–1974) cieszy się coraz większą popularnością – coraz szersze kręgi wiernych uznają w nim świętego. Powstaje coraz więcej książek przekazujących nam – w różnych ujęciach – niezwykłość tego Kapłana.

Otrzymałmy kolejną książkę (dwujęzyczną) o księdzu Bukowińskim pt. **Ze Wschodu na Zachód**, z podtytułami: *Ewangeliczne drogi ks. Władysława Bukowińskiego. Refleksje dla cierpiących i zagubionych oraz dla zdrowych i szczęśliwych*. Autorką książki jest **Danuta Lenik** (Kraków), a wydała ją Biblioteka „Wołanie z Wołynia” (Biały Dunajec – Ostróg, 2009).

Książka składa się z dwu czy nawet trzech części. Pierwsza, dotycząca osoby Księdza, to wspomnienia związane z takimi pojęciami jak prawda, wiara, nadzieja, miłość, wierność, radość, prostota, pokora... (łącznie 43 teksty). Część drugą i trzecią stanowią dwie Drogi Krzyżowe: z Księdzem Władysławem oraz z polskimi przesiedleńcami. Ta ostatnia jest nam szczególnie bliska (chodzi oczywiście o wywiezionych w 1940 r. i później), dlatego wybraliśmy z niej cztery stacje: I, II, XIII i XIV, które przedstawimy jako *Przemyślenia* na pierwszej stronie następnego numeru.

Wertując wydawnictwa

➔ Wielką zasługę ma redakcja czasopi-
sma Federacji Organizacji Polskich nU.
„Nasze Drogi”, wydając piękny **kalendarz
na rok 2010, poświęcony Chopinowi***.
Okazję dała 200. rocznica jego urodzin,
ale w jakiejś części także 100. rocznica
głównej na ziemiach polskich jubileuszowej
uroczystości, zorganizowanej we Lwowie,
wraz z pierwszym w naszej historii Zjazdem
Muzyków Polskich, na którym wspaniałe,
patriotyczne przemówienie wygłosił Ignacy
Paderewski.

Kalendarz wydany we Lwowie ma dwóch
zbiorowych adresatów. Pierwszym z nich
jest społeczność polska żyjąca dziś poza
wschodnią (a może nie tylko wschodnią)
granicą RP. Kalendarz ułatwi przede wszyst-
kim polskiej młodzieży z Ziemi Wschodnich
zrozumienie i utrwalenie przekonania o wiel-
kości ducha narodowego w dziejach naszej
kultury.

Drugim adresatem Kalendarza są inne
społeczności narodowe, żyjące dziś we
Lwowie i na całych Ziemiach Wschodnich,
bliższych i dalszych. Kalendarz ułatwi na

pewno rozumienie polskości Fryderyka Cho-
pina, nie tylko po matce-Polce i asymilacji
ojca, po miejscu urodzenia Fryderyka, jego
pierwszego języka i wykształcenia, ale także
i przede wszystkim po polskości jego dzie-
ła, jego polonezów i mazurków, polskich
wątków i ducha we wszystkich utworach
muzycznych.

W Kalendarzu znalazł się doskonały
tekst, omawiający etapy życia i twórczości
Chopina** oraz cała seria ciekawych ilustra-
cji. Dziękujemy za ten Kalendarz!

* Wdzięczność należy się Konsulatowi Gene-
ralnemu RP we Lwowie, który wydanie Ka-
lendarza sfinansował.

** Nie podano autora.

➔ Ktoś ostatnio pokazał nam numer „Ty-
godnika Powszechnego”* z lutego 2010, do
którego redakcja dołączyła wkładkę z cyklem
artykułów pod wspólnym tytułem *Polscy wy-
pędzeni*. Chodzi oczywiście o II wojnę i jej
następstwa po obu stronach okupowane-
go kraju.

Po wstępie autorstwa W. Pięciaka (re-
daktora wkładki) zamieszczono 4 artyku-
ły odnoszące się do centralno-zachodniej
połowy kraju, okupowanej przez Niemców,
i jeden dotyczący wschodniej połowy, za-
garniętej przez sowietów.

W sumie Niemcy wygnali ze swych ziem
ojczystych nieco ponad 900 tys. Polaków
(Żywieckie, Wielkopolska, Zamojszczyzna
i rejon nadmorski**). Spośród tych wygnań-
ców z Polski centralno-zachodniej wielu
zginęło, wielu rozproszyło się po świecie,
a jakaś liczba postradała swą tożsamość.
Trzeba jednak podkreślić, że większość – po
tym paśmie cierpień – powróciła na swoje
ziemie rodzinne, do swoich domów.

Inaczej stało się z Polakami ze wscho-
dniej połowy kraju, o czym traktuje piąty ar-
tykuł autorstwa Macieja Korkucia, a zatytu-
łowany jednoznacznie: **Zagłada ojcowizny**.
Tu liczba polskich wygnańców mierzona jest
w milionach.

Tragedia Ziemi Wschodnich składa się
z dwóch okresów. Najpierw okres pierwszej
okupacji sowieckiej – od 17 września '39 do
wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej pod
koniec czerwca 1941; drugi – od ponownego
wejścia sowietów w lipcu 1944 do... – tego
autor nie określa, my wiemy sami.



* W Krakowie ukazuje się dziś czasopismo pod takim samym tytułem, jaki miał niegdyś ogólnie znany katolicki tygodnik, wydawany przez Kurię krakowską i redagowany przez Jerzego Turowicza. Aktualnie wydawane pismo nie ma powiązań z Kurią i wydawane jest przez spółkę z o.o., redaktorem zaś jest ks. Adam Boniecki (do niedawna Fredro-Boniecki). Właśnie to czasopismo współsponsorowało konferencję w sprawie beatyfikacji władcy grekokatolickiego Andrzeja Szeptyckiego (jak pamiętamy, syna Fredrówny).

** Gdynia, Gdańsk, Prusy.

➔ W latach PRL instytucje kościelne wydawały w kraju kilka czasopism naukowych, które – zapewne w niewielkich nakładach – trafiały głównie do bibliotek naukowych kościelnych i ważniejszych świeckich (np. uniwersyteckich). Były jednak również do nabycia w niektórych księgarniach katolickich w większych miastach.

Co dla nas istotne, w czasopismach tych (mających formę książek), znajdowały się materiały historyczne związane z Kościołem na terenie archidiecezji lwowskiej (zapewne również wileńskiej). Ponieważ kilka takich tomów udało się nam w tamtych latach nabyć, sądzimy, że warto je i zawarte w nich interesujące nas publikacje przedstawić.

■ „**Studia Theologica Varsaviensia**” – półrocznik wydawany przez Akademię Teologii Katolickiej w Warszawie, nr 2/1966. Znajdujemy tam artykuł ks. Jana Charytańskiego SJ: *Życie narodowe w galicyjskiej szkole pierwszej połowy XIX w.* (głównie o Galicji wschodniej).

■ „**Studia Katechetyczne**”, wydawane przez ATK w Warszawie, t. II, 1980. M.in. artykuł ks. Stanisława Pawliny: *Kształcenie kleru obrządku łacińskiego we Lwowie od 1701 do 1783 roku.*

■ „**Studia Lubaczoviensia**”, wydawane przez Kurię Arcybiskupią w Lubaczowie, t. I, 1983. Tu już notujemy całą serię artykułów, m.in.: bp M. Rechowicz: *O genezę Ślubów Lwowskich Jana Kazimierza*; bp W. Urban: *Wydział Teologiczny UJK we Lwowie i jego znaczenie dla nauki polskiej w okresie międzywojennym oraz jej organizacji w Polsce Ludowej*; ks. J. Krętosz: *Sieć parafialna archidiecezji lwowskiej obrz. łacińskiego do 1772 roku*; ks. E. Szczerbiński: *Zmiany w zakresie granic administracji kościelnej*

*dokonane na terenie archidiecezji w Lubaczowie w czasie józefińskiej „regulacji parafii” (1783–1849)**; ks. E. Piotrowski: *Ksiądz Gerard Szmyd (1885–1938).*

■ „**Studia Lubaczoviensia**” jw., t. II, 1984, m.in.: ks. S. Bizuń: *Grzegorz z Sano-ka, arcybiskup i humanista*; ks. J. Krętosz: *Organizacja parafialna archidiecezji lwowskiej obrz. łacińskiego a sieć parafii greckokatolickich i ormiańskich działających w obrębie jej terytorium (w XIX w. do 1918 r.)*; ks. F. Plączek: *Bolesław Twardowski, arcybiskup metropolita lwowski 1864–1944.*

* Absurd świadczący o działalności cenzury w PRL: mowa o archidiecezji lwowskiej w czasach józefińskich (XVIII i XIX w.), a „archidiecezja w Lubaczowie” to druga połowa XX wieku.

Analogie

We Wrocławiu istnieje Muzeum Miejskie Historii Wrocławia, założone po II wojnie światowej w celu dokumentowania *odwiecznej polskości* tego miasta, które jednak w ciągu wieków uległo napływowi żywołu niemieckiego i germanizacji. Przywrócone Polsce w 1945 r., po usunięciu mieszkańców niemieckich, zostało zasiedlone przez napływ Polaków, w tym w dużej części przez ekspatriantów z Ziemi Wschodnich, które zagarnął dla siebie ZSRR.

W tymże muzeum utworzono dział poświęcony właśnie tym nowym mieszkańcom miasta, Polakom ze Wschodu, ich dramatawi wysiedlenia i ich kulturze. Działem tym kierowała przez wiele lat pani kustosz Irena Zielińska, doprowadzając do powstania pokażnej i cennej kolekcji przedmiotów przywiezionych przez polskich wygnańców z ojczystej ziemi i rodzinnych domów.

Tak było do niedawna. Doszło jednak do dwóch istotnych zmian. Nowym dyrektorem Muzeum został p. Maciej Łagiewski, p. Zielińska odeszła zaś na emeryturę.

Dowiadujemy się, że dyr. Łagiewski jest zainteresowany bardziej niemieckim wątkiem – na pewno bardzo ciekawym i istotnym dla kilkunastowiecznego rozwoju Wrocławia, ale równocześnie trudna historia nowych, polskich mieszkańców miasta zesłała na dalszy plan. Dział kresowy został zamknięty.

W ubiegłym roku otwarto we wrocławskim muzeum nową stałą wystawę pod nazwą „1000 lat Wrocławia”.

Przepisujemy z krakowskiego „Dziennika Polskiego” z 1–2 VIII '09:

Według Muzeum Miejskiego we Wrocławiu rozbiory Polski to „przyłączenie nadgranicznych ziem”, a Prusacy nie byli tacy źli, ponieważ przyczynili się do rozwoju miasta i „asymilowali” mniejszości narodowe – napisał wczoraj „Nasz Dziennik”. Otwarta w Muzeum Miejskim wystawa stała „1000 lat Wrocławia”, której jednym ze sponsorów jest Niemieckie Towarzystwo Kulturalno-Społeczne, zbiera dobre recenzje w prasie, więc wydawałoby się, że warto ją obejrzeć. W rzeczywistości zwiedzający otrzymują złagodzony obraz Prus i rządzącej dynastii Hohenzollernów – pisze gazeta.

Posiłkując się przewodnikiem po wystawie, widzowie mogą być cokolwiek zaskoczeni, kiedy przemierzając salę pruską ekspozycji, przeczytają, że rozbiory to „wcielenie” przygranicznych terenów przez Fryderyka II wespół z carycą Katarzyną. – Te „przygraniczne tereny” stanowiły niemal połowę państwa pruskiego – przypomina prof. Grzegorz Kucharski.

Przecieramy oczy – i nic nie rozumiemy. Wygnańcy z zabranych nam Ziemi Wschodnich, nie pytani o zdanie, zostali przed 2/3 wieku osiedleni na tzw. Ziemiach Odzyskanych na zachodzie i tam przeżyli owe 60–65 lat. Teraz podsuwa się im – wraz z Niemcami – jakąś całkiem inną koncepcję. Co mają więc myśleć? Jaki będzie krok następny?

Pytanie dość istotne: co na to polskie władze państwowe i miejskie Wrocławia? Jak to możliwe, że wystawa o takim wydźwięku mogła powstać?

Przy okazji: popatrzmy na stronę wschodnią. Czy my, Polacy, moglibyśmy urządzić analogiczną wystawę we Lwowie lub Wilnie? Bo argumenty mamy jak znalazł.

➔ Pan Krzysztof Bulzacki powiadomił nas, że przed paru laty ukazała się książka pt. *Rose Bailly – wielka Francuzka o polskim sercu*, napisana przez T.E. Domańskiego i wydana przez „Norbertinum” w Lublinie. Starsi Czytelnicy zapewne pamiętają **tę wielką przyjaciółkę Polski**, naszej historii i kultury, zaprzyjaźnioną z T. Boyem-Żeleńskim (nazywał ją „Różyczką”) i wieloma innymi wybitnymi polskimi ludźmi kultury zarówno przed II wojną w Polsce, jak w czasie i po wojnie we Francji.

Już po wojnie napisała Rose Bailly książkę, znaną najbardziej w angielskim wydaniu (1956) *A city fights for freedom*, gdzie mówi światu o walce Polaków o polski Lwów. Tłumaczenie z francuskiego i wydanie książki zostało wtedy dokonane przez specjalnie powołany PUBLISHING COMMITTEE LEOPOLIS za pieniądze zebrane z całego świata. Ostatnio została wydana po polsku przez wspomniane wyżej „Norbertinum”.

Książka o Rose Bailly jest jeszcze do otrzymania w wydawnictwie. Bardzo dziękujemy Panu Krzysztofowi za te wiadomości.

Jest co czytać (41)

ZESZYTY SZCZECIŃSKIE

Niedawno pisaliśmy (w CL 1/10) o zaprzestaniu edycji pisma „Stryjska Strzecha”, wydawanego przez 18 lat we Wrocławiu. Żal, bo to było bardzo dobre pismo, a poza tym znowu coś utraciliśmy...

Z wielką więc radością powitaliśmy nowe pismo „kresowe”, które ukazało się w Szczecinie. Od jego redaktora naczelnego i zarazem prezesa tamtejszego oddziału naszego Towarzystwa, dra Krzysztofa Szczura, otrzymaliśmy nr 4. tego pisma (styczeń-marzec 2010), którego tytuł brzmi: „Szczecińskie

Zeszyty Kresowe”. Wydawcą jest oczywiście TMLiKPW, Oddział w Szczecinie, z Klubem Wicyńian. Numer ma duży format (A4), kolorowe okładki oraz liczy 72 strony.

Treść bardzo urozmaicona, ciekawa, przynosi wiele materiałów na temat historii dawnej i XX-wiecznej, polskiego folkloru i obyczaju na ziemiach wschodnich, ludzi i ich wspomnień, a także relacje z odwieczin ojczystych stron.

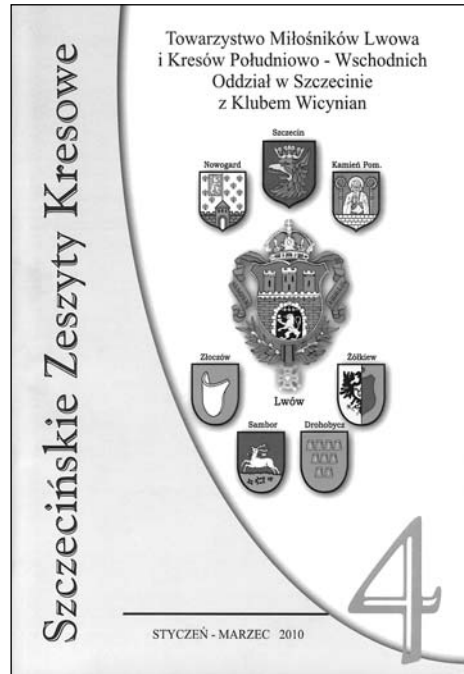
Na uwagę zasługują dwa teksty napisane przez twórcę pisma i jego naczelnego redaktora. W pierwszym pisze o Ukrainie i nacjonalizmie, drugi jest tematycznie diametralnie różny, ale o tym na końcu. Cenne jako dokumenty są kolejne dwa artykuły ▶

► – o charakterze etnograficznym, opracowane również przez dra Szczurę: pierwszy to opis tradycji i obrzędów z okresu Wielkiego Postu i Wielkanocy w Wicyniu w powiecie złoczowskim, oparty na relacjach jego rodziców i znajomych. Drugi materiał dotyczy polskich pieśni ludowych z Podola i Wołynia, wraz z nutami i tekstami.

Obszerny tekst odnosi się do znakomitego wydawcy złoczowskiego, Feliksa Westa (w CL również o nim pisaliśmy przed kilku laty). Profesor Oskar S. Czarnik omówił losy swego krewnego, Leszka Czarnika, działacza konspiracyjnego AK we Lwowie w czasie II wojny, rozstrzelanego przez NKWD. Kilka tekstów wspomnieniowych ze Lwowa, Sambora i Wicynia przypomina również czasy wojny.

Jest i relacja z wycieczki po Małopolsce Wschodniej oraz program następnąj.

I na koniec: wśród zamieszczonych w numerze tekstów zwraca uwagę jeden szczególnie. Jego autor, zarazem redaktor i działacz kresowy, a w ogóle lekarz i wysoki oficer WP, spisał niezwykle, pełne głębokich uczuć i refleksji rozmyślenia nad znalezionym niedawno na antykwarycznym stoisku lwowskiego targu, tragicznie okaleczonym krucyfiks z jakiejś podolskiej lub wołyńskiej kapliczki czy kościółka. Między autorem a wyrzeźbionym w drewnie Jezusem, pozbawionym połowy ciała i twarzy – Po-



łamanym Chrystusem – dochodzi do rozważań, wewnętrznej wymiany myśli, przekonywania się.

Filozofia i poezja zawarte w tym duchowym dialogu są szczególnie ewenementem w naszym współczesnym „kresowym” piśmiennictwie.

LISTY DO REDAKCJI



Pani Anna Fastnacht-Stupnicka, autorka świętej książki, o której niżej, przysłała nam drogą mailową następujący list:

Dziękując za omówienie mojej książki *Zostali we Lwowie* w ostatnim numerze „Cracovia–Leopolis” (nr 1/2010), pragnę odnieść się do krytycznej opinii na temat kilku zdań, które „nie podobały się” autorowi recenzji (dotyczyły punktu widzenia Jerzego Giedroycia). Wypowiedział je jeden z bohaterów książki, lwowianin. Można się nie zgadzać z jego poglądem, ale z całą pew-

nością nie można mu zarzucić braku godności narodowej. Nie widzę też powodu, aby *może lepiej tematu nie poruszać?*, jak sugeruje autor recenzji. Z poważaniem...

Nie bardzo rozumiemy, o co chodzi. Ktoś tu wywołuje wilka z lasu, nie chodzi bowiem o człowieka, lecz o problem. Przy okazji: proponujemy przeczytanie artykułu Bartłomieja Sienkiewicza „Pożegnanie z Giedroyciem” w „Rzeczypospolitej” z 29–30 maja.

Jakieś nieporozumienie wkrađło się też do listu p. Mariana Kłapkowskiego w sprawie inkryminowanych zdań w CL. Wypowiedzi przytoczonej w CL bynajmniej nie przypisaliliśmy Autorce i nikt – poza Panem – tak tego nie odebrał.

Skończmy już z Giedroyciem.

LISTA OFIARODAWCÓW na wspomnienie wydawania kwartalnika CRACOVIA–LEOPOLIS

W odpowiedzi na APEL DO PRZYJACIÓŁ, zamieszczony w numerze 2/2010, zaczęły napływać na adres naszej redakcji datki – piszemy o tym także w Słowie od redakcji w tym numerze.

Poniżej podajemy nazwiska Ofiarodawców, którym dziękujemy jeszcze raz.

Edward Adles, Kraków; Kazimierz Alda, Kraków; Tadeusz Arpad-Olszański, Warszawa; Kazimierz Bielecki, Legnica; Aleksandra Biniszewska, Kuklówka; Henryk Bógdoł i Barbara Hoszowska-Bógdoł, Rybnik; Jan Chlipalski, Kraków; Zbigniew Chłap, Kraków; Ryszard Defort, Kraków; Mieczysław Deyneka, Bytom; Grażyna Golińczak, Toruń; Tadeusz Grad, Bydgoszcz; Bolesław Graszewski, Kraków; Joanna Halaunbrenner-Lisowska, Kraków; Tadeusz Józków, Milicz; Irena Kalita, Opole; Jolanta Karasińska-Szeremeta, Wrocław; Koło Stanisławowian, Kraków; Anna Komornicka, Warszawa; Jerzy Kondal, Baranów; Romana Krzemień, Kraków; Anna Krzyżanowska, Kraków; Tadeusz Kukiz, Wrocław; Wojciech Machowski, Kraków; Elżbieta Malina, Warszawa; Andrzej Mierzejewski, Warszawa; Maria Mokrzycka, Gliwice; Tadeusz Mossoczy, Kraków; Kazimiera Paćławska, Kraków; Anna Pawlak, Toruń; Jolanta Roguska, Kraków; Jadwiga Sibiga, Jarosław; „Sokół-Macierz Lwów”, Kraków; Ewa Solecka-Wojtyczka, Rybnik; Janina Wieczorek, Gdańsk; Grzegorz Wieruszewski, Gniezno; Anna Wnukowa, Gliwice; Teresa Wojciechowska, Kraków; Adolf Zabuski, Wrocław; Wojciech Zbrożek, Przemyśl



Kazimierz Wajda – Szczepcio śpiewa piosenkę na estradzie w „Szóstce Londyńskiej”,
akompaniuje Tomasz Gliński, 1946

du, a niewiele o ludziach, o nazwiskach rodzin, które nie należały do najwyższych sfer społecznych.

Co to oznacza w praktyce? Chodzi o nadsyłanie materiałów takich jak: życiorysy, genealogie rodzin, wycinki z gazet, nekrologi, fotografie, dokumenty (jeśli już nieprzydatne, a miałyby być wyrzucone) itd. Archiwum to – stale rosnące – prześlemy z czasem do Kolekcji „Leopolis” przy Muzeum Niepodległości.

Warto dodać na zakończenie, że ukazuje się dziś wiele prac o polskich rodzinach ze Wschodu. Są to zarówno książki pisane przez profesjonalistów – np. o Reyach lub Krzyżanowskich, jak i opracowania nieprofesjonalne, jednak o wielkiej wartości. Jedne i drugie staramy się tu omawiać, bodaj rejestrować. Jesteśmy pełni uznania dla autorów materiałów o rodzinach Ziemi z Budzanowa (800 stron wydane własnym sumptem przez autora) czy o Józkowiczach z Husiatyńskiego Podola.

Tak trzymać!

- ¹ Wyjaśnienie dla niezorientowanych: ze względów technicznych liczba stron powinna być wielokrotnością liczby 8.
- ² Instytut Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Ważne: polskiego dziedzictwa.
- ³ Inicjatorami oraz współtwórcami razem z Dyrekcją Muzeum Niepodległości byli: Jerzy Janicki, Witold Szolginia, Aleksandra Garlicka, Janusz Wasilkowski i inni.
- ⁴ Jest oczywiste, że na naszych Kresach żyli i pracowali także inni, wzbogacając naszą zachodnio-europejską kulturę: przede wszystkim Niemcy, Włosi, jednakże działali oni w ramach naszego państwa, na rzecz naszych protektorów.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska,
Anna Madej, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-
-Siekańska, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalnikach CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Nakład 720 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania
śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od Redakcji KILKA SPRAW WAŻNYCH	II	Proza Zbigniew Szuperski OPOWIASTKA	30
Przemyślenia Ks. Józef Pyrek SDS WSPOMINANIE LWOWA	1	Zygmunt Wiśniewski DAWNO TEMU WE LWOWIE	32
KOŚCIÓŁ ŚW. MARIII MAGDALENY WE LWOWIE	2	Tadeusz Krzyżewski W HUMORZE RETRO	33
PAMIĘCI OFIAR KATYNIA	3	Słownik geograficzno- historyczny SCHODNICA ♦ SIEMIANÓWKA	35
Wiesław Opałek SPOTKANIE OLIMPIJSKICH CIENI	4	♦ TOMASZOWCE	35
Ks. Michał Bajcar ŻYCIE RELIGIJNE POLAKÓW NA UKRAINIE	6	Adam Krajewski LWOWSKIE PRZEDMIEŚCIA (2)	38
Janusz M. Paluch W KRZEMIEŃCU WIELKI ŻAŁ	11	Tadeusz Krzyżewski LWOWSKI „ŻYD WSPANIAŁY”	43
ODSZEDŁ LEKARZ	11	Wspomnienia Adam Trojanowski WSI SPOKOJNA (2)	46
Wspomnienia Tadeusz Mossoczy MOJE WSPOMNIENIA Z WRZEŚNIA 1939	13	Helena Żołnierkowa WIELCY Z MAŁEJ MIEJSCOWOŚCI	49
Jadwiga Leszczuk, Elżbieta Dziwisz LAKOWA KASETKA Z DRUGIEJ SZUFLADY	15	MUZEUUM NIEPODLEGŁOŚCI UHONOROWANE	51
Danuta Różycka JADZIA CIECZKIEWICZ – PRZYJACIÓŁKA NA ZAWSZE (2)	20	Sylwetki	51
Anna Pawlak CISNĄ SIĘ WSPOMNIENIA	21	Maksymilian Jamnicki RZEźBIARZ LEONARD MARCONI... PROFESOR BOCHENEK	52
Tamten Lwów Ewa Brodzisz-Śliwicka CO WARTO WIEDZIEĆ O LWOWIE	22	W Krakowie i dalej ZMARŁ O. JOACHIM BADENI Z KRONIKI ŻAŁOBNEJ	53
Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z BARBARĄ WACHOWICZ	24	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA JEST CO CZYTAĆ	55
Poezja Ignacy Koziulewski WSZYSTKO, CO NASZE...	28	LISTY	63
Władysław Bełza PIEŚŃ MŁODYCH SKAUTÓW	29	LISTA OFIARODAWCÓW	64